

Poniżej drukujemy reportaż Stefana Kozickiego, który otrzymał jedną z trzech nagród II (I nie przyznano) w konkursie na reportaż o Lubelszczyźnie ogłoszonym przez Wydział Kultury Prezydium WRN, Oddział Lubelski Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Wydawnictwo Lubelskie oraz Redakcję „Kamena”.

Kamena

Wychodzi od 1933 r.

LUBLIN 8 IV 1973 Nr 7 (519)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ

Powrót do miejsc rodzinnych

Stefan Kozicki

Do reportażu napisanego niemal rok temu lecz publikowanego dziś dopiero nie z winy autora (Od redakcji: reportaż był pisany na konkurs) należy dać krótkie uzupełnienie. Co wydarzyło się przez ostatni rok w miasteczku o którym piszę, Szczepieszynie? Ano, zmieniła się m. in. miejscowa władza i jej model przez stworzenie urzędu gminnego. Z okazji konstituowania gminy trafiła do Szczepieszyna reporterka „Życia Warszawy” Helena Kowalik. Właśnie z publikacji jej pióra dowiedziałem się, że reorganizacyjne okoliczności pozwoliły ujawnić na krótko (czy aby nie „za krótko?”) autentyczny aktyw społeczny miasteczka, dotąd przez miejscowe władze z reguły ule dostrzegany. Nieco później znalazłem Szczepieszyn na liście gmin, nad którymi „Życie Warszawy” obiecywało rozszerzyć permanentną publicystyczną opiekę i kontrolę. Miał Szczepieszyn w centrum zainteresowania wielkiego stołecznego dziennika? To jest coś! Docierając ten fakt w pełni — a jednocześnie obawiając się, że jeśli i dalej tak dobrze pójdzie koledy z „Życia” odbiora mi chleb — jeszcze raz proszę czytelników o potraktowanie prezentowanego tu tekstu według taryf ulkowej, różnej w wyrwanym z kalendarza kartkach.

Wierni wychodzą z kościoła, są w przeważającej liczbie starzy wiekiem, co nie znaczy iżby religijność typowa była już tylko dla wymierających pokoleń, ale młodzieży w miasteczku niewiele. „Mamy najniższy wskaźnik przyrostu naturalnego w południowej części województwa” — informuje krągla blondynka, miejscowy urzędnik stanu cywilnego. Rezygnuję z rozśmieszenia urzędniczki anegdota o prowincjonalnym amerykańskim osiedlu pełnym dzieci, „bo nudno okropnie, nie ma co innego robić, a tu jeszcze express New York — Waszyngton przejeżdża akurat o drugiej w nocy i gwizdnie, budząc największych leniów”. Anegdota nie pasuje zupełnie, tym bardziej, że miejscowa stacja kolejowa odległa jest o 3 kilometry z hakiem Zresztą mojej rozmówczyni nie rozśmieszyle byle co. Premię od liczby udzielonych ślubów dostaje, a jak młodych niewiele to i premi ślubnych niewiele.

Ciąg dalszy na str. 3-4-5

WŁÓCZĘ się wąskimi uliczkami obnosząc piętno obcości. Uliczki pną się w górę i opadają w dół, pagórzasto, zielono, kwiecisto. Pan Szmidt — ostatni prywatny piekarnik w miasteczku, patrzy z dystansem i pomija milczeniem pytanie, jak długo prowadzi piekarnię. „Nie znam pana, pan jest obcy, gdyby pan był władzą stanąłbym na baczność, ale pan nie jest żadną władzą, to widać”; pan Bubela — stolarz (malowana srebrem trumna na czarnym tle szyldu, nieheblowana sosnowa trumna wewnątrz warsztatu) nie chce podać ceny reklamowanego towaru:

„Nigdy tu pana nie widziałem, po co to panu, chce pan kupić? panie, ja kupca przez portki wyczuje”; kierownik magazynu mebli, tamże sprzedaje detalicznie, odmawia ujawnienia czy meble mają wzięcie („utarg? panie, co pan, to jest tajemnica służbowa”). Tylko fryzjer siedzący na schodach zakładu chlubiącego się skalpami damskich włosów — żadne tam nylony, wszystko naturalne — nie ma oporów przed obcym i z punktu stwierdza, że fryzjerstwo w takim miasteczku żaden interes. Sam pracuje „chyba tylko z przyzwyczajenia i dlatego, iż statystyki ma gdzieś. Sklep mięsny tylko jeden — za to fryzjerów aż siedmiu”.

Chelmie targi. Tych informacji udziela sekretarz gminy, kobieta — jak wynika z wizytówki na drzwiach — legitymująca się tytułem inżyniera. Jest zajęta. Na pytania odpowiada niechętnie, ale rzeczowo. Tak, zgodziła się objąć to stanowisko w Sawinie przede wszystkim ze względu na mieszkanie, ale martwi się, bo dzieci dorastają do szkoły średniej i chyba będą musiały dojeżdżać do Chelma...

A więc naczelnika nie ma. Nie ma również sekretarza Komitetu Gminnego, on także pojechał do tych Czulec i też wrócił za dwie, może za cztery godziny, a może dopiero wieczorem. Owa rozpiętość czasu wyjaśnia się w sposób bardzo prosty: są cztery miejscowości o nazwie Czulec — Wieś, Kolonia, Małe i jeszcze jakieś tam. Do trzech z nich dojechać można, do czwartych już nie, chyba że traktorem, a i to z trudem, bo glina tej zimy nie zamarza. A zebranie jest właśnie tam.

Sawin — miejscowość, która utraciła miejskie prawa w 1863 roku zawsze stanowił administracyjne centrum dla okolicy. Nawet wówczas, kiedy jeszcze przedwojenna gmina mieściła się w Bukowej. Owo „mieszczanie się” było zresztą czysto nominalne, bo faktyczna siedziba była tu. Z czasów powstańczych został pamiętny pomnik w lesie, odwieczny dziś

Dokończenie na str. 6-7

NOWORODEK

Krystyna Kotowicz
Janusz Weroniczak

TO MIAŁ być reportaż, przeproszam — raport o stworzeniu świata. Gminnego świata, który powołany do życia urzędowym „stań się” właśnie wylania się z chaosu. Tymczasem nic się nie zmieniło poza paroma urzędnikami i równie urzędową tapetą. Poprzednia glosiła, że tu mieścił się Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Sawinie, aktualna obwieszcza, że siedziba Urzędu Gminnego jest właśnie tu. Reszta bez zmian.

Naczelnika nie ma. Może będzie za dwie, może za cztery godziny, a może dopiero wieczorem. Jest na zebraniu w Czulecach. Zresztą w całym gmachu pustawo — dwóch, trzech interesantów, wiadomo: w

WMARCOWEJ wystawie okręgowej plastyków lubelskich uczestniczyło 25 artystów, tymczasem miejscowy ZPAP liczy 120 członków. W przekonaniu niektórych jest to straszna historia, potwierdzająca trw. specyfikę lubelską zawieszoną na znakach zapytania i nieskończonych minusach. Jeśli nawet ośmielimy się przypomnieć, że nieobecność grafiki wystarczająco tłumaczy zaplanowanie osobnej ekspozycji tej dyscypliny, to przecież nie udało się w ten sposób zlikwidować smętnych refleksji, obejmujących całe lubelskie życie plastyczne. Stagnacja i marazm, prowincja w biały dzień — stęchać tu i ówdzie, jako że najłatwiej ferować opinie na podstawie interpretacji statystyki i prywatnych odczuć, kierowanych określonymi sympatiami.

Tymczasem wiadomo, że wystawy okręgowe, pomyślane jako prezentacje rocznego dorobku członków ZPAP, od kilkunastu bodaj lat

straciły swoją pierwotną rolę, zamieniając się w okazjonalne, skromne ilościowo i omijane przez wybitniejszych artystów pokazy, które trzeba po prostu odbyć, odfajkować dla celów sprawozdawczych. Tak jest w Warszawie, Białymstoku, Poznaniu i Rzeszowie, a jeśli nawet zdarza się odstępstwo od tej zasady, no to tylko zdarza się. W niewielkim zaledwie stopniu fakt ten można wytłumaczyć niewydolnością maszyny organizacyjnej ZPAP i BWA. Przyczyny zdają się tkwić znacznie głębiej, rozgałęziając się w podłożu ideowym sztuki współczesnej.

Wystawy okręgowe nie obrazują dziś potencjału twórczego danego środowiska, nie informują do końca o problematyce artystycznej, żywej na konkretnym terenie, lecz wszystkimi swymi ulomnościami sygnalizują te sprawy, te mechanizmy, które kręcą dzisiejszym życiem artystycznym. Jako forma

Dokończenie na str. 6-7

ZNANI I NIEZNANI



Dr Danuta Nakoneczna: — Chciałabym, aby to, co robią, robili wspaniale, nadzwyczajnie... Fot. CAF (Z. Jaskiewicz)

Wychowawczynie

Mirosław Derecki

„Nie wymagam od nich, żeby wyrastali na geniuszy — mówię o swoich wychowankach dr Danuta Nakoneczna. — Ale chciałabym, aby to, co robią, robili wspaniale, nadzwyczajnie. Trzeba młodzieży zaszcześcić model maksymalizmu życiowego...”

„Oni” — to matematyczno-fizyczna klasa III F, czterdziestoosobowa grupa dziewcząt i chłopców z Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Czartoryskiego w Puławach. Owładnięci pasją nauk ścisłych, wyróżniający się spośród rówieśników dojrzałością życiową, wybiegają zakresem wiedzy matematyczno-fizycznej daleko poza ramy programu szkolnego. Znają ich pracownicy Instytutów fizyki wyższych uczelni Wrocławia, Warszawy i Lublina. Księgarnia naukowa Pałacu Kultury i Nauki przesyła stale na adres szkoły spisy najnowszych publikacji naukowych, które kupują dla swoich domowych bibliotek. W ostatnich wojewódzkich eliminacjach Olimpiady Fizycznej wśród 25 uczestników znalazło się 12 uczniów klasy III F z Puław. Uzyskali najlepsze wyniki. Pięcioro wyjeżdża na eliminacje centralne. Marek Mierzajewski sięga po laury aż w dwóch olimpiadach: matematycznej i fizycznej. W kronice klasowej prorektor Politechniki Wrocławskiej prof. Leszek Krzyżanowski pisze: „Oczekuję na utalentowanych (...) kandydatów na studia z Liceum

Ogólnokształcącego w Puławach”. Na innej stronie minister Oświaty Jerzy Kuberski chwali młodzież za stawianie sobie wysokich wymagań i obiecuje powtórnie przyjechać z wizytą do Puław. Wreszcie — grupa uczestników seminarium doktorskiego Instytutu Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego, która wizytowała klasę, stwierdza: „Wyjeżdżamy pełni optymizmu, że istnieje tak wspaniała młodzież i tak znakomici pedagodzy... a równocześnie z małym poczuciem niższości, które zawsze wynika z kontaktów z ludźmi, którzy w pewnej mierze nas przerastają...”

Doktoranci z rosnącym podziwem śledzili zajęcia prowadzone przez uczniów w klasach niższych, zdumiał ich wyjątkowo wysoki poziom ćwiczeń w pracowni fizycznej, a miary dopełnił specjalnie dla gości wygłoszony przez Jurka Michniewicza wykład: „Założenia ogólnej i szczególnej teorii Einsteina”.

„Ona” — Danuta Nakoneczna — wychowawca, nauczyciel, pracownik naukowy — zasadę maksyma-

Dokończenie na str. 4

Sztuka z nieba?

Ireneusz J. Kamiński



Zmarli

40-letni Jan Marcin Szancer, profesor ASP w Warszawie, znakomity ilustrator książek — zwłaszcza dla dzieci, scenograf teatralny i filmowy, kierownik artystyczny wielu wydawnictw, b. prezes ZPAP, laureat Nagrody Państwowej.

46-letni kompozytor Antoni Szafowski, m. in. autor często grywanej u nas i za granicą „Uwertury Koncertowej”. Po ukończeniu Konserwatorium Warszawskiego wyjechał na dalsze studia do Paryża, gdzie zamieszkał na stałe, utrzymując jednak zawsze żywy kontakt z krajem.

Literatura

4 Biblioteka Muzeum Literatury w stolicy wzbogaciła się ostatnio o pierwodruk „Konrada Wallenroda” z dedykacją autora dla matki Maryli — marszałkowej Wereszczakowej. Ogółem zbiory liczą 70 tys. woluminów.

4 13 marca minęła setna rocznica urodzin wybitnej poetki okresu Młodej Polski — Maryli Wolskiej, oraz 40 rocznica śmierci historyka i powieściopisarza Waleriego Przyborskiego.

4 Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wydała piękny tom, zawierający cztery księgi „Pieśni” Horacego — na lewych stronicach znajdują się teksty łacińskie, na prawych polskie w tłumaczeniu Stefana Golebiewskiego.

4 Wydawnictwo moskiewskie „Chudożestwiennaja Litteratura” opublikuje w tym roku w serii klasyki światowej dzieła Sofoklesa, Dantego, Szekspira, Rostandego, Cervantesa, Puszkina, Mickiewicza, Goethego i Byrona.

4 „Moim ideałem jest pisanie takich wierszy, które nie byłyby banalne dla wytrawnych krytyków i w pełni zrozumiałe dla mniej wyrobionego czytelnika” — powiedział E. Jewtuszenko w wywiadzie dla „Literaturnoj Gazety”.

4 W Skopje podpisano umowę o współpracy Związków Pisarzy ZSRR i Jugosławii.

4 Najbardziej cenioną w Japonii nagrodę literacką im. Ryonosuke Akutagawy przyznano dwóm młodym prozaikom — Aki Mijaharze i Hiroshi Hatajama.

Teatr

4 Krakowski Teatr im. J. Słowackiego rozpoczął próby „Wesela” Wyspiańskiego. Będzie to wierne odwzorowanie premiery z 1901 roku. Reżyseruje Piotr Parandowski.

4 W Teatrze Współczesnym w Szczecinie odbyła się prapremiera sztuki Jana Pawła Gawlika pt. „Obszar cienia”. Reżyserował Wojciech Jesionka.

4 Teatr Współczesny w Warszawie wystawił nową sztukę Ireneusza Iredyńskiego pt. „Sama słodycz” w reżyserii Z. Hübnera. Trudno powiedzieć, aby krytycy byli zadowoleni.

4 Warszawski Teatr Ochota wystawił Szekspira „Romeo i Julia” w reżyserii Haliny i Jana Machulskich.

4 Reżyser i dramaturg włoski Alessandro Fersen, dyrektor teatrów w Rzymie i Spoleto, przygotowuje w warszawskim Teatrze Dramatycznym polską prapremierę swojej sztuki „Diabli”.
4 11 marca obchodzone uroczyste w ZSRR 150-lecie urodzin jednego z największych dramaturgów rosyjskich — Aleksandra Ostrowskiego.

Sztuka

4 Ponad 200 karykaturzystów i rysowników z 29 krajów świata wystawilo swe prace w Moskwie na II Międzynarodowej Wystawie Karykatury pt. „Satyra w walce o pokój”. Jedną z drugich nagród zdobył Karol Baraniecki z Łodzi, jedną z trzecich Andrzej Stok z Krakowa (nazw współpracownika), a srebrny medal „Fondu Mira” Kryk Lipiński. Gratulujemy!

4 Obok dwóch wystaw poświęconych Kopernikowi, Muzeum Zamkowe w Malborku przygotowuje wystawę „Polskie tradycje rycerskie”. „Dawna porcelana i pasy polskie” oraz „Malarstwo batalistyczne XVII i XVIII wieku”.



Fot. L. Leo

Kamena str. 2

Muzyka

4 Na tegorocznym festiwalu „Jazz nad Odrą” dwie pierwsze nagrody ex aequo otrzymały zespoły „Laboratorium” z Klubu Zakładów Przemysłu Tytoniowego oraz kwartet Henryka Staboszewskiego — oba z Krakowa.

4 Teatr Wielki w Warszawie wystawił w ramach jednego spektaklu dwa balety: „Pożądanie” Grażyny Baciewicz (libretto według Picassa) i „Pietruszka” Igora Strawińskiego.

4 Warszawską Filharmonia Narodowa kończy miesięczne tournée w NRD, podczas którego dała 18 koncertów w różnych miastach. Solistami byli Halina Czerny-Stefańska i Konstanty Kulka.

4 Piąty już Festiwal Muzyki i Poezji w Białymstoku obok najwybitniejszych przedstawicieli miejscowych środowisk twórczych zgromadził także zespół J. K. Wilkomirski, E. Demarczyk, G. Holubek, K. Szostek-Badkowska, K. Pastelak, oraz Wielka Orkiestra Symfoniczną PRIT pod batutą K. Kordy.

4 Teatr Muzyczny w Gdyni przygotował prapremierę sztuki F. G. Lorki „Czarująca szewcowa” — w wersji musicalu. Libretto opracowała Maria Straszewska, muzykę Jerzy Milian.

4 W Bratysławie odbyła się prapremiera musicalu, którym był przerobiony „Rewizor” Gogola. Muzykę skomponował Teodor Sebo-Martinsky.

4 W szwedzkim mieście Vadstena wystawiono najstarszą operę komiczną „Cierpiący, miej nadzieję” włoskiego kompozytora V. Madeccego. Autorem libretta był Giulio Rospigliosi, późniejszy papież Klemens IX. Od ponad 300 lat autograf uważano za zaginiony, jednak niedawno odnaleziono go w archiwum Biblioteki Watykańskiej.

Film

4 W roku ubiegłym odwiedziło polskie kina 136 mln widzów — o 48 proc. mniej niż w roku 1971. Statystyczny Polak chodził do kina 4 razy w roku, statystyczny Europejczyk 6-7 razy, mieszkaniec ZSRR i Bułgarii 14-18 razy.

4 „Los człowieka” w reżyserii Sergiusza Bondarczuka rozpoczął w naszej telewizji przegląd stał najwybitniejszych filmów świata, wybranych na podstawie ankiet naszych krytyków filmowych.

4 Słynny reżyser japoński Akira Kurosawa zamierza nakręcić film o konieczności powrotu ludzi do natury, a w Jugosławii — gdzie ostatnio przebywał — film o tematyce współczesnej.

4 Na całym świecie produkuje się coraz mniej filmów szerokoekranowych (nie mylić z szerokoformatowymi na taśmie 70 mm), a coraz więcej kolorowych, szerokoekranowe bowiem nie odpowiadają potrzebom telewizji, która i w tej dziedzinie okazuje się dyktatorem.

Różne

4 „Przed każdym niemal koncertem — powiedziała Barbara Hesse-Bukowska w wywiadzie dla „Trybuny Ludu” — bez względu na stopień przygotowania i stan wewnętrznej dyspozycji, dopłaciłbym wiele aby móc usiedzieć najdalej od estrady i fortepiana. Za to natychmiast po koncercie myślę z niecierpliwością i radością o terminie następnego występu”.

4 Pisaliśmy, że w Zurychu Wajda jako reżyser przygotowywał prapremierę nowej sztuki Dürrenmatta „Wspólnicy”, a scenografią Krystyna Zachwatowicz. Ponieważ autor w ostatnich dniach przed prapremierą oświadczył, że nie chce być widziany, Wajda i Zachwatowicz zażądali wycofania swoich nazwisk z afisza. Publiczność przyjęła sztukę gwiazdami, a jeden z wybitnych krytyków napisał: „Nuda wzrastała proporcjonalnie do rosnącej góry trupów”.

Lubliniana

4 Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru Teatr im. J. Osterwy wystawił prapremierę „Pryzmy w złotych” F. Zablockiego w reżyserii J. Słowackiego. Po spektaklu wręczono po raz pierwszy przyznane wojewódzkie nagrody teatralne.

4 Otrzymały je: nasz współpracownik — słynny krytyk teatralny i były wieloletni kierownik literacki Teatru red. Maria Bechezy Rudnicka oraz popularna aktorka Maria Szczepówna. Złotą maskę wręcono Aleksandrowi Aleksemu a srebrne Teresie Targońskiej i Stanisławowi Olejarnikowi. Serdecznie gratulujemy!

4 W Pałacu Malachowskich w Naleczowie czynna jest wystawa prac olejnych i rysunków Henryka Zwołakiewicza z ostatnich lat jego twórczości.

4 Na wzgórzu zamkowym w Lublinie natrafiono na fragmenty murów budowlanych z XIV wieku. PKZ prowadzi dalsze badania.

4 W dniach 7-9 maja wystąpią w Lublinie zespoły pieśni i tańca, prowadzone w różnych miastach przez wychowanków Stanisława Leszczyńskiego.

4 W 70 rocznicę urodzin J. Czechowicza w muzeum jego imienia odbył się wieczór, poświęcony pamięci tego poety. O jego twórczości mówił nasz współpracownik dr Tadeusz Klak z Uniwersytetu Śląskiego, a Maria Urban-Mieszakowska wystawiła szereg obrazów opartych na motywach wierszy Czechowicza.

4 W drugiej połowie marca odbyło się w Lublinie wiele imprez kulturalnych w klubach studenckich w ramach „Jarmarku 73”. Niektóre z nich były bardzo interesujące, inne wprost kompromitujące (patrz: „Na tej sali się nie pali” — str. 10).

4 W przystępny sposób nakładem Wydawnictwa Artystyczno-Graficznego ma się ukazać album fotograficzny, poświęcony Ziemi Lubelskiej.

WALUTOWE LAMAŃCE

Z prasy zachodnio-niemieckiej... „Die Welt” wyraża się, że kryzys stał się permanentny. W wyniku utrzymujących się latami deficytów amerykańskiego bilansu płatniczego na całym świecie znajdują się ogromne sumy dolarów, które stosunkowo łatwo można wykorzystać do lokacji spekulacyjnych. Nie zaradzą już temu żadne konwencjonalne metody. Jest to gorzka nauka wynikająca z kryzysu. „Sueddeutsche Zeitung”: „W tej grze walutowej — istnieje niewytlumaczalne rzeczy. Tak więc marka traci obecnie bardziej na sile nabywczej niż dolar — w USA podwyżki cen są w najlepszym razie o połowę mniejsze niż w Republice Federalnej. Jednak ta marka jest wymienialna na złoto, a dolar nie. Niemiec-

zawodowa kobiet. Obecnie na 3 300 000 kobiet w wieku produkcyjnym pracuje w gospodarce narodowej pół miliona, czyli 15 proc. Przed rewolucją 1958 r. — 190 000. Ale poważny problem stanowił stabilizacja zatrudnienia. W ostatnich latach prawie połowa zatrudnionych kobiet porzuciła pracę. Związki zawodowe i Federacja Kobiet postawiły sobie jako główne zadanie odzyskanie w br. jako minimum 90 proc. stabilizacji żeńskiej siły roboczej. Jedną z poważnych przyczyn dużej płynności żeńskiej kadry leży w sferze obyczajowej: według mentalności latynowskiej kobieta od chwili zamążpójścia powinna zajmować się wyłącznie domem.

ZAMIANA

Jak informuje agencja AFP, żołnierze CHRL pełniący służbę na punkcie

koncertów, na których było obecnych ponad 140 mln słuchaczy i widzów. Jednak, jak wynika z listów, nadsyłanych do redakcji, niekiedy repertuar aktorów estradowych jest zamieniony utworami o niskim poziomie ideowym i teatralnym. Niektórzy piosenkarze, holdując słupiej modzie, wykonują szeroko znane piosenki ludowe i radzieckie w tak wystylizowanej jazzowej manierze, że wulgaryzują i wypacniają istotę tych utworów. Na estradzie — stwierdza „Prawda” — nie powinno być miejsca dla tych, których występy nie odpowiadają wysokim wymaganiom ideowo-estetycznym słuchaczy i widzów, jak również dla tych, którzy szerzą filisterskie upodobania.

POMOC SZWECJI

Szwecja podjęła działania w kierunku ustalenia swej pomocy dla krajów

kultury spożywczej obejmują przeciętnie rocznie 5,5 proc. budżetu rodzinnego, na odzież i obuwie — 1,5 proc., na komornie — 0,9 proc., na urządzenie mieszkalne — 0,9 proc., na sprzęt mechaniczny gospodarstwa domowego — 0,3 proc. Na transport — 3,1 proc. Charakterystyczne, że przy wzroście rocznego spożycia mięsa, drobiu, ryb, owoców, warzyw i warzywaków ekwiwalentnych zmniejsza się nie tylko roczna konsumpcja chleba i fasoli, ale także papierosów i napojów alkoholowych!

WALKA Z KICZEM

Ostatnio w prasie typu rozrywkowego wychodzącej w poszczególnych miastach ludnościowych, zostały istotnie zmniejszone zasoby na eliminowanie kiczu i kiczu z jej szpalt. W dyskusjach podkreśla się, że prasa ta jest potrzebna, powinna ukazywać się da-

Świat w którym żyjemy

ki (zachodnio — przyp. red. handel zagraniczny na wysokie nadwyżki, amerykański — wysoki za dłużenia. Przede wszystkim zaś niki nie myśli o rewaluacji dolara, wszyscy zaś o rewaluacji marki...”

WYMOWA PROCENTÓW

Amerykański tygodnik „U. S. News and World” stwierdza, że o ile w 1950 r. na USA przypadało prawie 37 proc. produkowanych na świecie towarów, to obecnie — 23 proc. W 1950 r. USA dawały 47 proc. światowej produkcji stali, a w 21 lat później już tylko 19 proc. W 1950 r. eksport USA stanowił 18 proc. eksportu światowego, a w 1972 r. już tylko 13 proc. W 1960 r. udział Stanów Zjednoczonych w światowej produkcji przemysłu motoryzacyjnego wynosił 46 proc., a 1971 r. — 39 proc. W 1950 r. USA dysponowały 42 proc. zasobów złota i diamentów, podczas gdy w 1972 r. — już tylko 3 proc.

granicznym Lo Wu między CHRL a Hongkongiem zamienili karabiny na zwykłe rewolwery i zgodzili się pozować przed kamerami fotograficznymi cudzoziemców udających się do Chin Ludowych. Obserwatory widzą w tym nowe oznaki odpretenia między Hongkongiem a CHRL od czasu wizyty min. Douglasa Home'a w CHRL.

ZNOWU WŁOSI

Ostatnie nominacje papieża znowu umacniają w kurii „frakcję włoską”, ponieważ niemal wszystkie człołowe stanowiska, jakie zwołnily się w wyniku rotacji, powierzono Włochom. Nowym prefektem kongregacji d/ś kanonizacji został 41-letni Luigi Riboldi, zaś głównym penitencjarzem, czyli pokutnikiem, 41-letni Giuseppe Paulini. Włoch jest również jednym z dwóch nowo mianowanych sekretarzy kongregacji.

BROŃ POLITYCZNA

Stany Zjednoczone i inne wysoko uprzemysłowane kraje stają się coraz bardziej bezbronne w obliczu nowej broni politycznej — rosyj naitowej — stwierdza amerykański kwartalnik „Foreign Affairs”. Autor artykułu, Akin, jeden z doradców Biłłego Domu, pisze, że USA będą zrywać w 1980 r. 24 mln baryłek ropy naitowej dziennie. Około 33 proc. musiałoby pochodzić z półkuli zachodniej, głównie z krajów Zatoki Perskiej, gdzie znajduje się większość światowych zapasów ropy naitowej znanych dotychczas. Zakładając, że z jakichś przyczyn politycznych czy gospodarczych kraje te wstrzymałyby dostawy, co byśmy wtedy zrobili? — zapytuje Akin.

CO NA ESTRADZIE?

„Prawda” wypowiedziała się za stawianiem większych wymagań wobec działalności estradowo-koncertowej. Radziecki dziennik pisze że w ub. r. zorganizowano w ZSRR 426 600

rozwijających się na poziomie i proc. dochodu narodowego (zgodnie z zaleceniami ONZ). Nowym zjawiskiem w świadczeniu pomocy jest obecnie nia amerykańskich ruchów wywoleńczych. Dzięki osobistym kontaktom premiera Palme z zamordowanym przywódcą ruchu wywoleńczego Gwinei — Blissau największe środki przeznaczone zostały dla tego ruchu. Wartość towarów — tekstyla, żywność, wyposażenie medyczne i samochody transportowe, jakie przekazane została ruchowi w tym roku — wyniosło 10 mln dolarów (1 dolar — nieco ponad 4 korony). Przekazywanie tej pomocy utrudnia sytuacja, w jakiej znalazł się ruch wywoleńczy Gwinei — Blissau po śmierci Cabrala.

KOBIETY GÓRA

Mełczyński stracił pozycję w dziedzinie wykształcenia — stwierdza radziecki tygodnik „Literaturnaja Gazeta”. — Co prawda globalnie mełczyński zachowanie jest jeszcze pewną przewagą, ale tylko dzięki starszym rocznikom. Natomiast w grupie wieku 20-40 lat odsetek osób z wyższym wykształceniem i średnim wykształceniem specjalnym jest jednakowo u obu pici. A właściwie prawie jednakowo: na tysiąc osób przypada 236 kobiet i 330 mełczyń. W grupie wieku 20-39 lat przewaga w wykształceniu kobiet jest odczuwalna: na tysiąc osób przypada 579 kobiet i 473 mełczyń. W tym wyższe wykształcenie ma 59 kobiet i 41 mełczyń. Kobiety z wyższym wykształceniem pracują we wszystkich zawodach, lecz przystępująca większość stanowia nauczycielki, learki i absolwentki studiów inżynierskich. Służba zdrowia i oświata są opianowane przez kobiety, które stanowią 73 proc. ogółu pracowników tych zawodów.

NA CO WYDAJA BULGARZY?

Według badań, przeprowadzonych przez bulgarski Centralny Urząd Statystyczny w latach 1962-71 dochody budżetów rodzinnych wzrosły przeciętnie dwa razy, a wydatki 1,85 raza. Wydatki na arty-

iej, wyróżniać atrakcyjnością, sposobem redagowania, ale nie może ona być szkoła złych gustów.

KŁOPOTY Z PRASĄ

Może nie tyle „kłopoty z prasą”, ile „kłopoty z jej wydawaniem na Zachodzie. Pisze na ten temat miesięcznik „Jours d'Europe”, stwierdzając, że właściwie żaden dziennik nie ma w Europie szans na zapewnienie sobie dobrobytu — by nie rzec: na przetrwanie — jeżeli nie należy do jakiejś szerszej jednostki gospodarczej. Obecnie nikomu już nie przychodzi na myśl, by w pojedynkę zacząć wydawać dziennik. Wszyscy zgodni są co do jednego: przyszłość należy do wielkich ugrupowań. Miesięcznik stwierdza dalej, że dawno już minęły czasy, kiedy czytelnik pokrywał pełny koszt dziennika. Gdyby tak miało się dzieć obecnie, to np. „Le Monde” musiałby kosztować (bez dochodów z ogłoszeń) 2 lub nawet 2,5 franka. Tymczasem egzemplarz tego dziennika kosztuje 80 centimów, 70 proc. dochodów pisma pochodzi z ogłoszeń. W tej sytuacji największe wpływy z ogłoszeń uzyskują gazety o największych nakładach i największej poczytności.

INNY JEZYK

Mowa o Australii. Pod tytułem: „Odrzucenie nawiązań dulesowskich” amerykański „Newsweek” zamieścił wywiad z nowym premierem tego kraju, Whitlamem. Stwierdził on m. in.: „Wciąż się lekam, że amerykańskie — silny zbrojne w Syjamie mogą wytworzyć podobną sytuację, jaka panowała w Wietnamie. Używanie przez Amerykanów baz lotniczych na terytorium syjamskim do operacji przeciwko Wietnamowi musiało nieuchronnie wzbudzić podejrzanie i faktycznie nawet wrogosc Hanoi w stosunku do Syjamu. Dalsza obecność sil amerykańskich w Syjamie przedłużałaby te atmosfery podejrzania i wrogosci. Najpóźniejszym w sprawie pomiędzy Australią i Japonią krajem — jest Indonezja: jedna z przyczyn tego jest fakt, że nie ma ona w obrębie swych granic żadnych wojsk obcych”.

MAGNETOWID TWORZYWEM SZTUKI

W MONTREALU, pod patronatem Narodowego Urzędu Filmu, otwarto ośrodek, gdzie za opłatą 500 dolarów można wypożyczyć sprzęt, na którym powodzeniem cieszą się magnetowidy o półcalowej szerokości taśmy, przy których najkorzystniej kształtuje się stosunek kosztów aparatury do jakości obrazu.

Galeria Schuma — jak dowiadujemy się z relacji „Timesa” — wzorem szanującego się marszanda XIX wieku udostępnia artystom sprzęt, pomaga im w realizacji etiid filmowych, a następnie kolportuje w niewielkiej cenie (liczbie kopii) nagrane taśmy. Wyniki tego „paktu między właścicielem a artystami” są ponoć dla publiczności niezbyt zachęcające. Wyjątek stanowią dwa szkice filmowe, m. in. „Studium rąk mnących kapeluszy”.

Zdaniem renezcanta „Timesa”, zatracono w tej wystawie największy atut magnetowidu — możliwość natychmiastowego odtworzenia nagranego przed chwilą obrazu. Możli-

wość ta zacięra granicę między twórcami filmu a jego widzami. Każdy może wziąć kamerę do ręki i w kilka sekund później obejrzeć, jaki z niej zrobił użytek. Magnetowid jest więc bardziej narzędziem „happeningu”, z wciągnięciem do gry publiczności, niż środkiem zapisywania akcji na scenie.

Na twórcach zademonstrowanych w Londynie szkicach z Wideogalerii zaciężył ten sam bezwład kompozycyjny, który pierwszym fotografikom kazał pozować swych bohaterów tak, jak do olejnego portretu. Kontynuując myśl renezcanta „Timesa” w kierunku znanych z doświadczeń innych ośrodków, można powiedzieć, że magnetowid (podobnie jak magnetofon kasetowy) jest narzędziem zalamującym kierunek rozwoju „środków masowego przekazu” na rzecz „środków przekazu kameralnego”. Stąd właśnie sojusz między magnetowidem a teatrem amatorem, któremu może on przynieść renesans, podobnie jak gitara elektryczna uczyniła to wobec zespołów muzycznych.

Ego te faciam magister...

NAUCZYCIELU - NA STUDIA

Jerzy Dostatni

DAWNO już nie słuchałem tak zaciętej i często kontrowersyjnej dyskusji, jaka toczyła się na ostatnim posiedzeniu Senatu UMCS. Omawiano przyjęty właśnie przez kolegię Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki oraz Ministerstwa Oświaty i Wychowania projekt kształcenia i dokształcania na wyższych uczelniach nauczycieli szkół podstawowych i średnich. Zresztą chodziło nie tyle o sam projekt, ile o możliwość zaspokojenia potrzeb, przedstawionych przez kuratora lubelskiego: samym tylko dokształcaniem trzeba objąć w najbliższych latach 15 283 nauczycieli. A ilu jeszcze będzie z sąsiednich województw, dla których UMCS jest podstawową bazą kształcenia kadr? O zaciętości dyskusji świadczy chociażby elegancka, acz nie pozbawiona podtekstu uwaga rektora: to, że nie zrobiliśmy dotąd przerwy, chyba że na nas działa. Mimo to przerwy nie było.

Przed laty nauczycielem mógł zostać niemal każdy, kto legitymował się średnim wykształceniem, chociaż czasem pod naporem potrzeb i na ten wymóg przyznawano omyłki. Potem nauczyciele rekrutowali się w zasadzie z liceów pedagogicznych, następnie ze studiów nauczycielskich — a więc wciąż średnich, wreszcie z wyższych szkół nauczycielskich — wbrew nazwie zawodowych szkół półwyższych, nie mających prawa nadawania nawet najniższych stopni naukowych. W rezultacie wśród około 20 tys. nauczycieli w szkołach, podległych Kuratorium, jest tylko 8 doktorów i 2447 magistrów.

Uchwala ministerialnych kolegiów zanim przekształci się w obowiązujące zarządzenia, które tak czy inaczej będą jednak obowiązywać od nowego roku akademickiego, może jeszcze ulec pewnym poprawkom

czy uzupełnieniom, istota jednak pozostanie. Nie jest ona działaniem wycinkowym, stanowi natomiast ważny etap w ogólnej reformie studiów wyższych, wynikający z raportu o stanie oświaty w całym kraju. To także jeden z najważniejszych czynników, wpływających na prawidłowe budowanie drugiej Polski, w której powszechne nauczanie na poziomie średnim będzie obowiązujące. Trudno więc godzić się nadal z tym, aby znaczna większość nauczycieli nie posiadała pełnego wykształcenia wyższego, ukoronowanego przynajmniej stopniem magistra w danej specjalności, a także odpowiednim pogłębieniem wiadomości z zakresu pedagogiki oraz wiedzy ideowo-politycznej. Uchwalona w roku ubiegłym Karta Nauczyciela już załatwia lub załatwia nadal wiele ważnych dla nauczycieli spraw. Jest jednak rzeczą słuszną, że wraz ze wzrostem uprawnień czy korzyści, nie wyłączając materialnych, wzrastają wymagania wobec nauczycieli. W każdym bilansie są przecież dwa podstawowe pojęcia: ma i winien. Inaczej bilans nie może się zgodzić.

Ponieważ dokształcanie obejmie w naszym województwie owe 15 tys. nauczycieli, nie licząc absolwentów szkół nauczycielskich w latach najbliższych, ponieważ to dokształcanie zaabsorbują pokaźną część pracowników nauki (także w pozostałych uczelniach Lublina) — warto chyba tej sprawie poświęcić nieco uwagi. Zwłaszcza, że informacje przekazane drogą oficjalną są dotychczas bardzo skąpe, co właśnie było powodem wielu pytań, zastrzeżeń i wątpliwości m. in. na owym posiedzeniu Senatu UMCS.

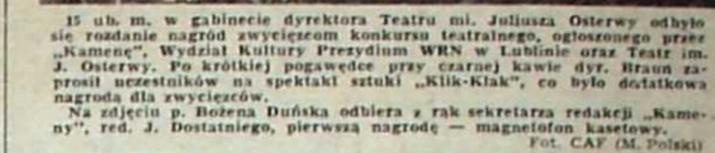
Tak więc od nowego roku akademickiego dokształcanie się nauczycieli staje się obowiązkowe dla mężczyzn w wieku do lat 40, a kobiet do lat 35. Kandydatów w poszczególnych latach będzie typowała komisja Kuratorium, kierując się przede wszystkim potrzebami po-

szczególnych szkół, ale uwzględniając zarazem sytuację życiową kandydatów. Kto mimo wytypowania i braku obiektywnych przeszkód nie chce się dokształcać, będzie zmuszony pożegnać się z zawodem, ewentualnie po odpowiednim kursie przejść na wychowawcę w przedszkolu.

Wytypowani kandydaci zostaną przyjęci na studia bez egzaminu wstępnego. Aby jednak jedni mogli uzupełnić nabyte kiedyś wiadomości, inni je sobie przypomnieć — generalnie zaś chodzi o to, aby wszyscy reprezentowali mniej więcej jednakowy poziom i nie potykali się już na początku studiów — w okresie wakacji letnich będą musieli ukończyć sześciotygodniowy kurs wstępny.

Studia dokształcające będą odbywały się naturalnie systemem zaocznym. Potrwać one cztery lata i jedynie ci absolwenci studiów nauczycielskich, którzy będą kontynuowali naukę w zakresie wyuczonej i wykonywanej specjalności, zostaną przyjęci na drugi rok studiów. Natomiast absolwenci wyższych szkół nauczycielskich mają przed sobą tylko dwuletnie uzupełniające studia magisterskie, które jednak zaczęła działać w roku akademickim 1974/75. Takich kandydatów w województwie będzie niewiele: ponad 500.

Studiujący zaocznie będą przyjeżdżali okresowo na konsultacje do uczelni lub punktów konsultacyjnych, które zapewne zostaną uruchomione w Zamościu, Chełmie, Puławach i Białej Podlaskiej. Takie konsultacje, trwające 15 dni w ciągu roku, łączą się ze zwolnieniem (płatnym) z pracy oraz bezpłatnym zakwaterowaniem i wyżywieniem, a jeżeli to będzie niemożliwe — z dietami i ryczałtami za noclegi. I także ze zwrotem kosztów podróży. Każdy ze studentów-nauczycieli będzie mógł bezpłatnie wypożyczyć komplet podręczników i materiałów pomocniczych. Aby uniwersyteckie laboratoria i pracownie mogły sprostać dodatkowym obowiązkom, otrzymają dodatkowe wyposażenie poza środkami, przewidzianymi w dotychczasowych budżetach. Aby ułatwić studiującym systematyczną naukę, na bieżąco usuwać pewne wątpliwości, jak również wskazać dodatkowe źródła do nauki, od października poczujemy radio i telewizję będą nadawały audycje, w których wystąpią najlepsi naukowcy-pedagodzy. Będą to programy ogólnopolskie, ale Senat UMCS rozpocznie już odpowiednie pertraktacje, aby możliwie najżybciej



15 ub. m. w gabinecie dyrektora Teatru m. Juliusza Osterwy odbyło się rozdanie nagród zwycięzcom konkursu teatralnego, ogłoszonego przez „Kamień”. Wydział Kultury Prezydium WRN w Lublinie oraz Teatr im. J. Osterwy. Po krótkiej pogawędce przy czarnej kawie dyr. Braun zaprosił uczestników na spektakl sztuki „Kilka-Klak”, co było dodatkową nagrodą dla zwycięzców.

Na zdjęciu p. Bożena Duńska odbiera z rąk sekretarza redakcji „Kamienia”, red. J. Dostatniego, pierwszą nagrodę — magnetofon kasety. Fot. CAF (M. Polski)

można było nadawać takie audycje również z ośrodka lubelskiego, przystosowane do specyficznych wymagań naszego regionu.

Zajęcia dydaktyczne z udziałem naukowców obejmą ogółem około 230 godzin w roku. Będą to zajęcia trojki rodzaju: 1) 105 godzin na trzytygodniowej sesji w lipcu (po zakończeniu egzaminów wstępnych na wyższych uczelniach, a przed rozpoczęciem roku akademickiego), 2) 35 godzin podczas sesji zimowej (w okresie wakacji w szkołach podstawowych i średnich), 3) 90 godzin w czasie pięciu trzydniowych zjazdów konsultacyjnych, odbywających się między sesjami co sześć tygodni.

Nauczyciele dokształcający się tym systemem będą korzystali z takich samych urlopów, jak wszyscy ci, którzy studiują zaocznie. A nawet więcej. Dotychczas pewnych przedmiotów nie nauczano systemem zaocznym, ale teraz trudno sobie np. wyobrazić, aby część szkół na cztery lata pozbawić chemików czy biologów. Tak więc biologie, chemie, fizyce, wychowanie techniczne oraz kierunki mechaniczny i elektrotechniczny (to ostatnie dotyczy WSi) uznano za eksperymentalne i tutaj studiujący będą mogli otrzymać dodatkowo pięć miesięcy urlopu (płatnego) w ciągu czterolatnich studiów. Analogiczne urlopy mogą otrzymać studenci na kierunkach szczególnie trudnych do samodzielnej nauki — matematyce oraz filozofii rosyjskiej i zachodnioeuropejskiej.

Tu jeszcze ważne wyjaśnienie dla innych kandydatów na wyższe uczelnie. Już w nowym roku akademickim na studiach zaocznych dla osób, nie będących nauczycielami, dostępne będą tylko kierunki o specjalności nauczycielskiej. Aby jednak tym osobom nie zamykać możliwości kształcenia się, chociaż

nie chcą oni być nauczycielami, a mają nadzieję znaleźć pracę w innych dziedzinach, uruchomi się dla nich studia zaoczne na kilku uczelniach; obejmą one historię, pedagogikę oraz filologię polską, rosyjską i zachodnioeuropejską. Prawdopodobnie w Lublinie tego nie będzie. Wieloletnia praktyka w całym kraju wykazała, że takich osób jest stosunkowo niewiele, po kilkanaście na każdej uczelni.

Jak więc widać, państwo angażuje bardzo poważne środki, aby wszystkim nauczycielom zapewnić pełne wyższe wykształcenie. Jest to jedyna droga do rzeczywistego unowocześnienia treści nauczania oraz wprowadzenia do programów szkół podstawowych i średnich najnowszych osiągnięć nauki, za którymi nie mogłyby nadążyć nawet stosunkowo często zmieniane podręczniki. Pełne studia magisterskie w nowym wydaniu powinny przeciwdziałać dość rozpowszechnionemu ostatnio, a jak wykazało życie niesłusznym tendencjom wąskospecjalistycznym i praktycystycznym. Powinny natomiast pogłębić wiedzę ogólnoteoretyczną jak również przygotować metodologicznie do nauczania, wychowywania i dalszego pogłębiania posiadanej już wiedzy. Składają się one z trzech podstawowych bloków wiedzy: przedmiotowej kierunkowej, pedagogicznej oraz ideowo-politycznej, uzupełnionych przedmiotami pomocniczymi.

Dokończenie na str. 8

Powrót do miejsc rodzinnych

Ciąg dalszy ze str. 1

Inne statystyki, którymi dysponuje Urząd, też nie nabrzą optymizmu. Miasteczko w okresie międzywojennym liczyło 7 tysięcy mieszkańców (w połowie Żydów), dziś liczy 2700, a 5 tysięcy z przedmieszciami. Istnienie tych przedmieść mocno się podkwało. Nie tylko z prestiżowych względów, jak początkowo myślałem, znając przykład kochanej stolicy, która swego czasu bez trudu miała, jednym odważnym przedsięwzięciem administracyjnym, tj. włączeniem okolicznych osiedli, urosła do rangi przesyłanego milonowego miasta. Początkowo pomyślałem więc, że i tutaj jest podobnie, że z podobnych przyczyn cztery wieś awansowały do rangi przedmieść, w tym m. in. Szperówka odległa o 7 kilometrów okropnie błotnistej, polnej drogi. Miejscowi patrioti wyprowadzili mnie jednak z błędów. Szperówka występuje w roli przedmieścia od paru już wieków i choć wielokrotnie proponowano jej secesję nigdy tego nie chciała uczynić, ponieważ mieszkańcy Szperówki w roli obywateli miasta posiadali prawa ludzi wolnych i pańszczyzny nie musieli oddawać.

W szafach zawierających archiwum Urzędu stoją martwym szeregiem sztywno oprawne księgi, zół-

kle, postrzępione. Druga połowa XIX wieku. Większość ma na grzbietach naklejki z porządkującymi napisami i symbolami wypisanymi fioletowym atramentem przez okupacyjnych niemieckich urzędników, o czym świadczą transponowane fonetycznie na niemiecką pisownię naklejki z zewnątrz, a wewnątrz na grubych bibuśkach kartach teksty urzędowych formułek po rosyjsku i podpisy egzotycznym żydowskim alfabetem. Galimatias epok i kultur. Przeglądam te sto lat liczące foliały dotyczące gminy żydowskiej z uczuciem wykraczającym poza zwykłą ciekawość archiwalnego szperacza, ale w momencie, kiedy usiłuję przetłumaczyć zdanie, w którym występuje imię Mordechaj, w błon urzędniczej budzi się groźny lew ryczący falsetem: „Nie wolno! Tego panu nie wolno!” No tak, zapomniałem, jestem tu obcy. Miasteczko broni się przed obcym na każdym, a już najbardziej na urzędowym kroku. Wydaje się najbardziej utajonym miejscem w całej Rzeczypospolitej. Jakby we wnętrzu mizernych sklepików i warsztatów wyrabiano części do katiusz, a szafy biurowe typu AL-14 kryły w sobie plany bomby wodorowej o zasięgu rażenia co najmniej gromady. Zapomniałem — na Jahwe zaklinam urzędniczkę, że to tylko zapomnienie a nie brak lojalności — o na-

szej umowie sprzed godziny, zawartej w wyniku telefonicznego porozumienia z powiatowym kierownikiem, który zezwolił te księgi tylko przejrzeć bez prawa tłumaczenia i czynienia wypisów.

Dziś w miasteczku nie ma już ani jednego Żyda. Nieliczni, którym udało się przetrwać dzięki pomocy Polaków, przenieśli się zaraz po wojnie w inne strony. Do niedawna zamieszkiwali tu tylko dwaj. Tacy, co przeżywali w czas wojny na tak zwanych Zachodzie i stamtąd do rodzinnych stron powrócili. Jeden z nich, niezbyt lubiany przez społeczność miejscową, mający urzędową markę emerytowaną, postępowego działacza, w rzeczywistości zaś trudniący się nielegalnymi transakcjami finansowymi, wyemigrował powtórnie kilka lat temu. Drugi — pracownik GS-owskiej rozlewni piwa, leży od roku na miejscowym cmentarzu. Z nikim się specjalnie nie przyjaźnił, ale wrogów nie miał. Chodził wyłącznie trasą dom — praca — dom. W święta narodowe galowy mundur wojskowy wkładał („bo dwa miał: polowy i odświętny”) i wokół rynku paradował kłaniając i odklaniając się grzecznie.

Żydów w miasteczku nie ma, ale bożnica jest i to piękniejsza niż kiedykolwiek. Po wojnie tylko gołe mury okopcone pożarem zostały, teraz znów wzniósł się dumnie obok

rynku, trochę poniżej dawnej cerkwi unickiej, jej kwadratowy kształt o typowych proporcjach renesansu. W bożnicy gruntownie odrestaurowanej w 1965 roku kosztem trzech milionów złotych mieści się Okręgowy Ośrodek Kultury.

W witrynie kawiarni „Sielanka” kartka: „Wyszedł do kasy”. Stare, budowane według prawa magdeburskiego na szerokość trzech okien kamieniczki przy rynku wpiętrzone są daszkami, facjatami i przybudówkami drewnianymi, wsparte na naturalnej, wapiennej opoce obudowanej całym systemem kamiennych schodków. Od przeciwległej strony — kamieniczki wybrzuszone są daszkami, facjatami i przybudówkami drewnianymi, wsparte na naturalnej, wapiennej opoce obudowanej całym systemem kamiennych schodków. Od przeciwległej strony — kamieniczki wybrzuszone są daszkami, facjatami i przybudówkami drewnianymi, wsparte na naturalnej, wapiennej opoce obudowanej całym systemem kamiennych schodków. Od przeciwległej strony — kamieniczki wybrzuszone są daszkami, facjatami i przybudówkami drewnianymi, wsparte na naturalnej, wapiennej opoce obudowanej całym systemem kamiennych schodków.

Uliczki rozchodzące się promiennie od rynku, im dalej, tym bardziej zyskują na malowniczości. Stają się coraz bardziej kręte, dają nurka w dno wąwozów; kończą się brukowane nawierzchnie, nie ma lamp jarzeniowych jak przy rynku ani nawet latarni, kończą się mury, wszędzie tylko drewniane, gontem kryte domki, żeby nie powiedzieć chałupy, co byłoby obraźliwe, chociaż łącznie z przedmieściami zamieszkuje tu 900 rolników. Miasteczko jednym bokiem oparte o lessowe wzgórze, drugim o rzekę (za rzeką łąki) — nie ma i nie może mieć w sobie żadnej urbanistycznej monotonii, jest za to monotonia życia, tylko dla obcego nie groźna. Można ją utopić w alkoholu serwowanym w dwu restauracjach (sta-

rzy wzdychają: „a przed wojną było siedem restauracji i szesnaście piwiarni”). Są dwa osobne do duchowego usprawiedliwienia się z grzechu wypicia zabytłowe kościoły katolickie i jedna cerkiew. I szpital w murach dawnego klasztoru. I zespół budynków szkoły ufundowanej przez Zamoyskich w 1811 roku, podówczas jeden z najnowocześniejszych w Europie, dziś jeden z najbardziej przestarzałych (mieści się w nim ogólnokształcące liceum).

Droga, na dnie głębokiego jaru, którą oddalam się od rynku, wprowadza mnie na kirkut zwany okopowiskiem. Wśród płyt nagrobnych z piaskowca, zdobnych motywem świeczników i tory, słucham koncertu ptaków i konserwuje go na taśmie magnetofonu. Na tej samej drodze, dalej za kirkutem — parafialny cmentarz. Tu też śpię wają słowiki. Groby solidnych mieszczan sąsiadują z grobami partyzantów. „WŁADYSŁAW DRABIK — ppor. „Wilk”, poległ w 1944”. „Pchor. AK BOLESŁAW JÓZWIĄKOWSKI — ps. „Huzar”, lat 25”. „Plut. ALEKSANDER JÓZWIĄKOWSKI, lat 26”. Dwa szczególnie strojne groby ufundowała krewnym Amerykanka polskiego pochodzenia. Nazwisko, imię i adres fundatorki jest solennie wykuty w kamieniu obok nazwisk zmarłych. Na zbiorowej mogile dębowy krzyż z napisem: „BOHATEROM POWSTANIA 1863 — Drużyna Harcerska im. Emilii Plater”. Obrosła nie kuszona trawą bukwą cyryllicy: „TU SPOCZYWA MATROŚ CZERNIŁÓW”. Kwatery siostrzakonych: „TU SPOCZYWA, OCZEKUJĄC ZMAR-

Dokończenie na str. 4-5

Kamena str. 3

Wychowawczynie

Dokończenie ze str. 1

lizmu życiowego stosuje przede wszystkim względem siebie samej.

Absolwentka Wydziału Inżynierii Ładowo-Wodnej Politechniki Wrocławskiej i Wydziału Fizyki Uniwersytetu Wrocławskiego, po zrobieniu dyplomu w 1956 r. zdecydowała się na karierę pedagogiczną. Pociągała ją praca z młodzieżą; do dzisiaj nie zmieniła zdania, że „najciekawiej pracuje się z człowiekiem w wieku 16-20 lat, gdy jego umysł jest i najbardziej chłonny i podatny na kształtowanie”. Już wtedy, w I Liceum Ogólnokształcącym we Wrocławiu, wyznawała zasadę, że nauczyciel powinien spełniać rolę nie tylko wykładowcy, ale również inspiratora naukowych zainteresowań, wychowawcy, lidera i przyjaciela młodzieży, którego zakres działalności nie ogranicza się jedynie do murów szkoły. Rok szkolny wypełniała młodzieży intensywną nauką, przygotowującami do olimpiad matematycznych lub fizycznych, ale także wspólnymi wypadami narciarskimi w Karkonosze, a następnie wakacyjnymi wycieczkami po kraju. Uczeń był współpartnerem nauczyciela w tworzeniu życia szkolnego, jego pomysły, sady i opinie były przez nauczyciela rozważane i dyskutowane z całą klasą. Wtedy to po raz pierwszy młoda nauczycielka zaczęła myśleć o koncepcji nowoczesnej szkoły, w której tworzeniu uczeń jest równie mocno zaangażowany jak i nauczyciel...

Po przeniesieniu się do Puław Danuta Nakoneczna bynajmniej nie daje się uwieść atmosferze „cichej, sielskiej” prowincji. Zresztą na owej „prowincji” zaczyna właśnie życie tętniące nowym, przyspieszonym rytmem: powstają puławskie „Azoty”, miasto z nadwisiańskiego zaścianka przekształca się w prężny, nowoczesny organizm miejski, z całej Polski ciągną tutaj zastępy techników, inżynierów, naukowców. Nakoneczna otwiera na Uniwersytecie Warszawskim u prof. Wincencjusza Okonia przedmiot doktorski na temat: „Wpływ organizacji i metod nauczania na rozwój zainteresowania naukowych fizyka”. Głównym recenzentem tej pracy jest obecny dyrektor Instytutu Fizyki we Wrocławiu, prof. Bogdan Sujak. Zresztą nie bez powodu pracą Nakonecznej interesuje się znany naukowiec wrocławski — Danuta Nakoneczna od lat prowadzi swoją działalność pedagogiczno-eksperymentalną w oparciu o współpracę z wrocławskimi wydziałami uczelniami. Ten kontakt jest tym bardziej ścisły, że obecnie wielu dawnych wychowanków Liceum Ogólnokształcącego we Wrocławiu — to młoda, wybijająca się kadra tamtejszych wyższych uczelni.

Stopień doktora uzyskuje Nakoneczna w 1969 r. Ale to jej nie zadowala. Zaczyna myśleć o habilitacji. Równocześnie nawiązuje współpracę z szeregiem warszawskich placówek naukowych: Instytutem Kształcenia Nauczycieli, Instytutem Badań Pedagogicznych, Instytutem Podręczników i Programów. Podpisuje umowę wydawniczą na książkę pt. „Monografia klasy”, pisaną w opar-

ciu o eksperyment pedagogiczny, jaki już od trzech lat prowadzi w matematyczno-fizycznej klasie puławskiej. Program tej klasy opracowany jest przez doc. Mieczysława Sawickiego z warszawskiego Instytutu Podręczników i Programów, a realizowany tylko w dwóch szkołach w Polsce: Liceum im. Klementa Gottwalda w Warszawie i Liceum im. Adama Czartoryskiego w Puławach.

Od 1 marca br. dr Nakoneczna dzieli swój czas między Puławę, L. Lublin. Bo właśnie w Lublinie objęła ostatnio stanowisko kierownika Zakładu Matematyczno-Przyrodniczego w Instytucie Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych.

— Jak znajduje pani czas na to wszystko?

— Organizacja pracy... uśmiecha się dr Nakoneczna. — Wymagam jej od swoich uczniów, tym bardziej muszę doskonale tę umiejętność dla swoich własnych potrzeb...

Pierwszego września, przed trzema laty, dr Danuta Nakoneczna rozpoczyna w murach puławskiego liceum swój największy, jak dotychczas, eksperyment pedagogiczny... W prawdziwym „kombinacie” szkolnym, jakim jest Liceum im. A. Czartoryskiego (900 uczniów, 55 nauczycieli), grupa czterdziestu dziewcząt i chłopców stanowiących klasę I F pozostaje niezauważona. Wkrótce dadzą znać o sobie. Ale na razie... „Jaka będzie ta szkoła, szkoła charakterów, jaka atmosfera zapanuje w klasie? — oto pytania, nad którymi każdy cicho się zastanawia” — odnotowuje uczeń-kronikarz, a zapewne podobnie myśli nurtują i wychowawczynie. Rekrutację do tej klasy przeprowadzono w pięciu szkołach podstawowych z Puław i pięciu szkołach wiejskich z powiatu puławskiego. Już pod koniec maja wytypowani przez miejscowych nauczycieli najzdolniejsi uczniowie zostali poddani badaniom testowym z matematyki i fizyki. Oprócz wiadomości rzeczowych badano ich pomysłowość, oryginalność i sprawną myśl w rozwiązywaniu zadań problemowych, teoretycznych i praktycznych.

Pierwsza trudność, na jaką napotyka dr Nakoneczna w pracy ze swymi „szczególnie uzdolnionymi” uczniami to fakt, że w klasie zostali zgrupowani właśnie uczniowie... najzdolniejsi. „Przez osiem lat szkoły podstawowej — stwierdza w artykule pt. „O niektórych zabiegach organizacyjnych, dydaktycznych i wychowawczych klas mate-

matyczno-fizycznych” — to byli ci trzej, czterej uczniowie z klasy, szczególnie zainteresowani przedmiotami ścisłymi, dla których nauczyciel miał zwykle czas na wysłuchanie wyczytanej przez nich nowości technicznej bądź wyjaśnienie postawionego problemu, na udzielenie odpowiedzi na postawione pytania. Zgrupowanie w jednej

się szkolnymi kołami naukowymi, inni urządzili pracownię fizyczną, zaś dwaj inżynierowie elektrycy zmontowali w pracowni fizycznej skomplikowaną szafę rozdzielczą. Szczególnie wiele pracy poświęcają Kolu Chemików dr Kossakowska z Instytutu Weterynarii i inż. Jagoda opiekująca się od dwóch lat kołem doświadczalnym fizyków. To wła-

ściwych? Czy rozbudzenie w tej młodzieży poczucia własnej wartości i przekonania, że w pewnych dziedzinach są „lepsi”, „zdolniejsi” od swoich rówieśników, nie wpłynęło na przyszłość ujemnie na ich charakter, na postawy życiowe? Oto pytania, jakie codziennie zadaje sobie nauczycielka i wychowawczyni. „Rzecz w tym, żeby młodzieży zaszczylić model maksymalizmu życiowego... Ale żeby równocześnie młody „mózgowiec” nie zamykał się w świecie „dorosłej przemądrzałości”, lecz korzystał ze wszelkich przyjemności i uciech życiowych przynależnych jego wiekowi... Ci młodzi ludzie, wędrujący bez trudu przez świat calek i różniczek, zgłębiający samorzutnie zagadnienia nowoczesnej fizyki, prowadzący na własny użytek notatniki, w których zapisują wszystko nowe, co pojawia się w świecie techniki, pozostają przecież — dzięki mądrej polityce wychowawczej swojej Profesorki — trochę rozdżakowanymi, pełnymi radości życia uczniakami. I chyba słusznie „wyznacza” ten stan rzeczy maszyną matematyczną Politechniki Wrocławskiej „Odra 1013”, którą podczas zgrupowania naukowego klasy III F obsługiwał Jurek Michniewicz, „podsumowując” chłopca takim oto wierszykiem: „Wynik nie tylko, że niedostateczny, ale gorzej, bo niebezpieczny. Kategorie nie się panu zabrania na ulicach urządzić polowania. Nie wolno uśmiać za żadną kierownicą, nie odwiedzać baru typu „Pod Iglicą” — jeżeli już bar to tylko mleczny no i Anioł Stróż, a będzie pan bezpieczny — z poważaniem „Odra 1013”.



Dr Danuta Nakoneczna: — Nowoczesną szkołę trzeba budować wspólnie z uczniem.

Fot. CAF (Z. Jaskiewicz)

klasie czterdziestu uczniów, z których niemal każdy wykazuje zainteresowanie przedmiotami ścisłymi, uniemożliwia indywidualne podejście do ucznia, tak niezbędne w pracy nad kształtowaniem zdolności i zainteresowań kierunkowych”.

Wyjście z tej sytuacji znalazła dr Nakoneczna przez zaangażowanie do współpracy rodziców uczniów, pracowników miejscowych instytutów naukowych, nauczycieli lub inżynierów z „Azotów”. Już wcześniej klasa została podzielona na czterospobowe grupy dydaktyczno-wychowawcze, uczące się wspólnie i wzajemnie dopinające do pracy. Teraz opiekę nad tymi grupami przejęli rodzice, uzupełniając w znacznej mierze pracę pedagoga i wychowawcy. Spotkania grup odbywały się w domach prywatnych na zasadzie wieczorku towarzyskiego, ale z uwagi na wiedzę techniczną gospodarzy można było podczas owych wieczorów swobodnie przedyskutować interesujące uczniów zagadnienia. Co ciekawsze, te spotkania zbliżyły rodziców do... szkoły. Kilku inżynierów wyraziło chęć zaopiekowania

nie dzięki zapalowi rodziców i ich znajomym stanęły przed uczniami otworem drzwi pracowni doświadczalno-naukowych puławskich instytutów.

Ach, ta Pani Profesor! Rzutka, energiczna, wpadająca jak bomba do klasy, pełna pomysłów, potrafiąca godzinami opowiadać o twórcach nowoczesnej fizyki, roztańczająca przed młodymi umysłami wizję wspaniałego świata opartego na zdobyciach techniki, przekonująca o szczególnym postępiem nauk ścisłych... A przy tym dowcipna, a przy tym trochę przekorna... Czy to przypadkiem nie ona podsunęła pomysł wpisania do kroniki klasowej tego oto zdania Goethego: „Fizyka... gromadzi doświadczenia, dopasowuje i łączy poprzez sztuczne eksperymenty... lecz my musimy śmiało utrzymywać, że natura ma dobroduszy uśmiech i trochę wątpliwości”?

Jak zdogingować czterdziestoosobowy zespół młodych ludzi do pracy na najwyższych obrotach? Jak skłonić ich do sięgania po literaturę naukową, z jakiej zazwyczaj korzystają studenci wyższych uczelni

Szybują w przestworzach matematyki i fizyki, wyjeżdżają na zgrupowania i obozy naukowe, ale drżą tak samo jak koledzy z innych klas przed dwójką z polskiego albo biologii. Wygłaszają referaty na temat teorii Einsteina, ale z równym zapalem organizują kulligi, wycieczki i taneczne wieczorki klasowe. Długie godziny skomplikowanych ćwiczeń w pracowni fizycznej przerywają zabawą w świat dorosłych — zasiadają przy wybudowanym przez siebie „barku” i pracowicie sączą z filiżanek herbatę. Na ścianach klasy rozwiesili portrety znakomitych fizyków, ale na piecu posiadili ogromnego pluszowego misia-maskotkę. Co ich trochę wyróżnia spośród innych to fakt, że wszyscy już doskonale wiedzą, kto podejmie jakiego kierunek studiów i na jakiej uczelni. Poza tym jednak wciąż jeszcze potrzebują opieki człowieka, który nimi kieruje i który ich wychowuje, który towarzyszy im w nauce i w rozrywce, którego po latach będzie się wspominać z łezką w oku i mówić: „To były wspaniałe lata, to była wspaniała Profesorka...”

Mirosław Derecki

Powrót do miejsc rodzinnych

Dokończenie ze str. 3

TWYCHWSTANIA, SIOSTRA MARIA—KLARA—ANETA OD PIĘCIU RAN”. I jeden z najstarszych nagrobków: „Tu spoczywa wraz z trojgiem swych dzieci FORTUNAT JANISZEWSKI, magister filozofii, Profesor Gimnazjum Szebrzeskiego, zgasł w 1848 r.”.

Zapada zmierzch, szaleją słowiki, w dalekim tle odywa się kukulka, jeszcze gdzieś dalej, jak przez mgłę, pies szczeka.

Romantyzm, psia krew.

Jablonie kwitną za oknem bursy miedzyzłozkolejnej, w której mam swoją kwatery. Zastanawiam się, czy są one te same, czy tylko takie same. Bo przecież jakieś jablonie rosły na pewno w tym miejscu wtedy, kiedy chodziliśmy tu do szkoły.

Patrzę na ścieżkę między jabloniami taką samą, czy może tę samą, co niegdys. Ten sam zakręt, te same większe dęby i takie same, laweczki wokół potężnych pni.

Bałem się tu przyjechać. Wir wielkiego miasta przywracają mi do nagiętych zmian wyracających znane pejzaże na nice. Tkwiły we mnie obrazy, których bałem się na-

ruszyć, zmać. Bałam się, że to, co wydawało mi się w szczenięcych latach wielkie i piękne, w wieku męskich doświadczeń, po obejrzeniu siedmiu cudów świata, wyda mi się małe i brzydkie. Niepotrzebnie się bałam. Tak mało się tu zmieniło. Po trzydziestu latach! I rytm życia ulicy — tak samo powolny. Bo cóż z tego, że częściej od konnych wozów przejeżdżają tędy auta, kiedy te w większości nie zatrzymują się — jadą dalej. Nie ma zmian? Otóż nie. W tym właśnie jest wielka zmiana. Bo niegdys, pamiętam, chłopskie furmanki na długo się tu zatrzymywały. Wielki świat zbliżył się dziś do małego Szebrzeszyna głównie dzięki TV (odbiorników telewizyjnych jest tu — z przedmieściami — prawie tysiąc), ale oddaliła się od niego sąsiedzkosc. Coraz mniej imponuje wsi — położonej na lessach, bogaczącej się na tytoniu i burakach — Szebrzeszyn jako miasto. Przy nowoczesnej, scentralizowanej organizacji handlu, systemie kontraktacji, Szebrzeszyn, ten odwieczny pośrednik, staje się coraz mniej potrzebny okolicy.

Może inny reporter, nie związany osobliście z tym miasteczkiem, a mający skłonność do symbolizacji uogólnień, przypominając chłopskie strajki z lat trzydziestych powiedziałby, że oto współczesność wykonuje wyrok wydany na podstawie

kodeksu sprawiedliwości dziejowej. Ale ja nie uogólniam, tylko pamiętam. Jako dziecko obudził mnie kiedyś wczesnym rankiem rozgłosny tupot. Wyjrzałem przez okno; w miasto wlewały się szeregi chłopów pod zielonymi sztandarami; szli równo w ponurym milczeniu; tylko ten tupot! Włec może ktoś by powiedział, że tak długo Szebrzeszyn zerował na nędzę i niedolę chłopskiej okolicy aż przepelniła się miarka, aż przewrócone zostały balwany dawnej wiary i pojawiła się nowa wiara, rzetelniejsza, prawdziwsza.

Ale co jest prawdą? Tylko punkt widzenia. Niekoniecznie aktualny. Również ten określony życiorysem. Ja dostrzegam Szebrzeszyn mało zmieniony zewnętrznie, może dlatego, że podświadomie takim właśnie pragnęłam go zastać. A przecież mają też swoją rację miejscowi patrioci, mówiąc: „Gdyby znalazł pan Szebrzeszyn w przeszłości, nie poznałby pan go dziś. Tak wiele się zmieniło. Taki postęp”. Nie pamiętałbym? To mnie tu nie pamiętają. Nie poznają.

A co do zmian — i owszem. Dostrzegam. Dostrzegam dobrze. Ot, byłem na przykład pierwszego dnia pobytu w miasteczku na wieczorne literackim Kazimierza Rusinka. Czy w „moich czasach” przyjeżdżał tu ze stolicy literat jakiś? Najważniej-

sze wydarzenie kulturalne jakie zapamiętałem z lat mojej młodości — to był występ kobiety bez głowy (czy też głowy bez kobiety), atleci prostującego podkowy i wbiającego hufnalne w dębową deskę gołą ręką, oraz konia znającego tabliczkę mnożenia. To był dla mnie i dla moich rówieśników jedyny, porywający teatr. Przeżyłcie kształtujące gust artystyczny. Czy można czynić porównanie między wieczorem literackim a kobietą bez głowy? Nie można. Chociaż...

Trudno mi nazwać wieczór Rusinka — literackim. Rusinek mówił głównie o japońskiej kuchni, tokijskich hotelach i o tym, jak trudno mu było z gejami się dogadać. Szczęściem „na Rusinka” nie przyшло dużo osób. Przeważnie młodzież spędzona z internetu. Ot i nowa różnica. Na kobietę bez głowy nikt nas nie musiał spędzać. Sami ochoczo za bilety płaciłamy.

Wychodzę z bożnicy, idę drogą (dawniej tłuczeń wapienny, dziś asfalt), mijam betonowy przepust (dawniej dziura w jezdnii a nad nią liche deski) i przypominam sobie, że akurat w tym miejscu na skraju miasteczka, nieopodal naszego domu budowano pod koniec lat trzydziestych triumfalną bramę dla lubelskiego biskupa. Biskup — to była jedyna ważna postać, na odwiedzinę której mógł liczyć Szebrzeszyn, a ścisłej mówiąc jego chrześcijańska społeczność. Dziś natomiast, proszę: bywa, że nie tylko pisarz wprost ze stolicy, ale nawet sam minister kultury tu zjeżdża. Czy może być jakiegoś porównania między biskupem (w dodatku przedwojennym) a ministrem? Żadne. Chociaż...

W „Złotej Księdze” Ośrodka Kultury czytamy: „Ludność miasta już od wczesnych godzin gromadziła się tłumnie na trasie przejazdu Dostojnego Gościa. Dzieci dzięły w dłoniach chorągiewki. Nikt się nie wyłamywał, wszyscy byli ciekawo wyglądu Wielkiego Gościa, który za-

szczyli nasz gród Swoją obecnością”. O pobycie biskupa pisano, jak pominę, identycznym niemal stylem.

Dom, w którym mieszkałem tyle lat, wydaje się taki sam jak dawniej, ale nie: znikła obrastająca niegdys jego ściany winorośl, znikła olbrzymia czeremcha i pochylony jejon, na który tak lubilem się wspinać. Zamiast stajni — garaż. A w ogrodzie pełnym nigdy kwiatów, drzew owocowych i jarzyn — równie rzędy porzeczek. Jednorodnych. Wiadomo: hodowla przemysłowa. Dawniej moja matka i inne matki hodowały w ogrodach różnicę, wszystko, co potrzebne było dla domu. Wiadomo: gospodarka nietowarowa. Dziś jest postęp. Wszyscy sadzą wyłącznie to, co jest opłacalne.

Postęp widoczny jest też w budownictwie. Nieopodal rynku stoją trzy nowe bloki. Nie żadne tam kamienice czy domy, ale bloki właśnie. Z wieloma klatkami (nomen omen) schodowymi. Szeroko przeszklone. Kryte kolorowym tynkiem. Ładne. Nawet nie „jak na Szebrzeszyn”. Naprawdę ładne i kwita. Kwita? Tak mógłby powiedzieć tylko ktoś, kto nie był na podwórzach bloków, kto nie zaglądał do klatek schodowych. Bo postęp jest przede wszystkim od strony ulicy. Od środka rozpanoszył się już grzyb wlażący rozkładającym wrzodami aż do mieszków na ostatnim piętrze. Wszędzie brud i śmiecie. Na brudnych podwórkach bawia się brudne dzieci. Z usasadnionych — jak powiadają miejscowi działacze — przyczyn. Bo w blokach kanalizacji nie ma. Tam, gdzie niegdys biegło się z tzw. potrzebą za komórkę czy stodołę, dziś biegnie się za blok. Na kanalizację i funduszy i siły przerwowej zabrakło. Powstała alternatywa: albo już budować bez kanalizacji, bez wodociągów, albo nie budować wcale. „Jednym słowem — tłumaczą działacze — stało

Z PEWNOŚCIĄ przeciętny świadek wydarzeń sportowych zwróci się, kiedy usłyszy, że dziedziną największych osiągnięć zawodników lubelskich są szachy. Ten rodzaj sportu jest „cichy”, mało widowiskowy, nieprzystosowany do kontaktu z masowym widzem, stąd wydarzenia mające tu miejsce nie rozchodzą się szerokim echem. A nadarza się dla Lublina okazja, by głośniej o tym mówić, ponieważ mamy do czynienia z faktem szczególnie doniosłym: zdobycie mistrzostwa Polski mężczyzn i mistrzostwa Polski kobiet na rok 1973 przez zawodników lubelskich. Są nimi Krzysztof Pytel i Anna Jurczyńska — znani na arenie szachowej z racji swoich wielokrotnych już sukcesów. Należy dodać, że te dwa tytuły mistrzowskie świadczą zarówno o talencie i sportowej postawie ich zdobywców, jak o prężności całego lubelskiego środowiska szachowego. Do braw dla szachistów lubelskich łączymy życzenia równie pomyślniej przyszłości.

Niżej prezentujemy wypowiedzi obu mistrzów uzyskane po zakończeniu rozgrywek.



Anna Jurczyńska

— Czy finał grudziądzki kosztował panią wiele nerwów?

ANNA JURCZYŃSKA: Proszę sobie wyobrazić, że nie. Przede wszystkim dlatego, że nie liczyłam na zdobycie mistrzostwa, a lokata w pierwszej ćwiórce, co miałam w planie, wydawała się do osiągnięcia bez większych trudności. Dopiero pod koniec, kiedy powstała szansa na pierwsze miejsce, przeżyłam sporo emocji. Byłam mianowicie w tej sytuacji, że dla wyjścia na czoło musiałam zyskać cztery i pół punkta z pięciu partii, a więc tylko jedną z nich zremisować, co — jak widzimy — stało się faktem. Decydujące w tym względzie było spotkanie z Lipską-Kowalską, które mimo zdobycia przeze mnie pionu mogło zakończyć się remisem. W sześćdziesiątym piątym posunięciu moja przeciwniczka przegrała przez przekroczenie czasu, co dało mi prowadzenie. Wygrałam turniej dosłownie na finiszu.

się, jak się musiało stać, mogło być gorzej, jeszcze nigdy tak nie było, żeby nie było gorzej, chociaż dziś jest gorzej niż myślało się że będzie gorzej. A zważyć też trzeba — ciągła — brak kultury współżycia wśród lokatorów wynikający z braku tradycji życia w kolektynie. Może i racja, choć szansa szybkiego nauczenia się zasad kolektywnego życia jest tu duża. Zgola podważona, bo jedna podwórzowa sławojka przypada na dwa mieszkania. Postęp? Jest postęp. Już w tym roku planuje się rozpoczęcie budowy nowoczesnego, piętrowego budynku przychodni obwodowej, w miejsce starej, mieszczącej się tymczasowo od 25 lat w drewnianym baraku. Zaczęto nawet kopać pod fundamenty. Kiedy zahaczyłem ten temat w rozmowie z kierownikiem przychodni, dr Sposom (najstarszym lekarzem w miasteczku), ten polinformował, że właśnie powrócił był formuł, że właśnie powrócił był do „powiatu”, gdzie interweniował w sprawie rozplanowania wnętrza nowej przychodni. Projekt — który pokazano mi dopiero obecnie — przewiduje niefunkcjonalne rozwiązanie, absurdalne zgola pod względem zasad higieny. Ale interwencja się udała. Dr Sposom usłyszał, że albo — albo. Albo będzie się budować według z dawną ustaloną planu, albo nie będzie budowy w ogóle. „Co robić, redaktorze? Zgodzić się, czy nadal protestować?” Doradziłem dr. Sposowi zgodę, chociaż nie znam się na medycynie, tylko co nieco na postępie. W natychmiast usłyszałem opowieść o byłym dyrektorze szczebrzeskiego szpitala. Dyrektor ów stosował z powodzeniem metody inwestycyjne własnego pomysłu i przemysłu. Przy niewielkich kosztach odnowił szpital przystosowując klasztorne mury

— Zyskując mistrzowski tytuł nie po raz pierwszy.

A.J.: Tak. Mistrzynią Polski byłam w latach 1962 i 1963, ponadto dwukrotnie wicemistrzynią. W finałach mistrzostw Polski uczestniczyłam od roku 1953.

— A przedtem?

A.J.: Uprawiałam grę amatorską. Stało się to za sprawą rodziny, w której prawie wszyscy grają w szachy, ale najczęściej zawdzięczałam ojcowi. On mnie nauczył grać i on zaszczylił zamłownianie do szachów, które nie ostrygło do dzisiaj.

— Jakie otwarcie specjalnie pani odpowiada?

A.J.: Największym wzięciem w turnieju cieszyła się partia sycylijska. Z Efeńską — obrończynią tytułu — grałam narzucony przez nią gambit centralny, zakończony zresztą remisem po piętnastu posunięciach. Ja sama preferuję grę ostrą i kombinacyjną, a więc debiut otwarty. Natomiast posunięciem d4 białymi rozpoczynam wtedy, kiedy spodziewam się, że przeciwniczka znając moje skłonności przygotowała się na szybką wymianę ciosów. Obecnie jednak coraz poważniej myślę o gambicie królewskim, który do niedawna znajdował się w lamusie praktyki szachowej, ale który tu i ówdzie ponownie zaczyna znajdować zwolenników.

— Czy dużo przygotowań poczyniła pani przed turniejem?

A.J.: Nie przesadnie. Proszę sobie wyobrazić, że wielką pomocą okazało się dla mnie zajęcie instruktora, które prowadzi z grupą młodzieżową w Lubelskim Związku Szachowym. To pociągnęło za sobą odnowienie kontaktów z teorią, co w konsekwencji przyniosło pewien pożytek w turnieju. Jestem tu winna podziękowania władzom LZSzach, które przyznając mi funkcję pracownika etatowego umożliwiły zarobkowanie w dziedzinie zainteresowań, a więc nie odrywanie szachów od pracy zawodowej. Również słowo wdzięczności z mojej strony należy się redaktorowi Kasprzakowi ze „Sztandaru Ludu”. Okazał mi naprawdę wiele życzliwości już poza wymiarem „służbowym”, co ze strony otoczenia jest mi zawsze bardzo pomocne w moim psychicznym nastawieniu do zmagania turniejowych.

— Oczywiście. Nie można być mistrzynią nie będąc kobietą. Wiedziony zazdrością z powodu tak ciepłych słów pod adresem kolegi, pozwól sobie w imieniu naszej redakcji, złożyć życzenia podobnej pomyślności na rok przyszły.

do potrzeb nowoczesnego leczenia. Był energiczny. Umiał zabiegać o kredyty. Przerzucił plan budowania jednego piętra, jednakże już go nie zrealizował. Musiał odejść. Za swoje chałupnicze inicjatywy inwestycyjne i za to, że nie trzymał się ściśle rubryk budżetowych, więc... Więc obecnie znów jest dyrektorem szpitala. Tyle że na prowincji ciut większej. W Libli, dokąd wyjechał na zlecenie Międzynarodowej Organizacji Zdrowia. Jego wyjazd nie uszczuplił zresztą szeregu lekarzy miejscowych. Bo jest postęp i lekarzy w Szchebrzeszynie stale przybywa.

Dwukrotnie więcej jest też nauczycieli. Nie dziwnego, skoro po wojnie w siedzibie dawnego „Sokoła” uruchomiona została nowa szkoła. Techniczna zostawa z dwoma kierunkami: metalowym i stolarskim. Pasuje ona jak ulał do tzw. nowej rzeczywistości. Ma wielkie powodzenie. Może dlatego, że jej świadectwo równa się wizie wyjazdowej — zawsze więcej kandydatów niż miejsc. Jest postęp. Szkoła zawodowa ma być w przyszłości pięciolokalna. Opracowano już lokalizację nowego budynku warsztatów szkolnych, ale ponieważ lokalizacja ta zabacza o teren liceum — wynikają konflikty. Jedni nauczyciele drugim nie podają rąk.

Jest postęp i tradycja. I jedno z drugim splecione. Szchebrzeszyn posiada tradycje tkackie. Jeszcze z XVII wieku. Warsztat tkacki był nawet niegdys w jego herbie. I dziś jak dawniej, jak zawsze, funkcjonuje tu tkalnica, filia zamojskiej spółdzielni pracy, produkująca głównie kilimy i zatrudniająca 38 kobiet. Miałem szczęście być naocznym świadkiem triumfalnego wkraczania postępu na jej teren. Miałem

Na szachownicy

2 x LUBLIN



Krzysztof Pytel

— Przede wszystkim gratulacje. Drugi raz z rzędu mistrzostwo Polski. To świadczy o dużym zaangażowaniu w grę na szachownicy czterech polach, o studiach...

KRZYSZTOF PYTEL: Tak, udało się. A szachy traktuję rzeczywiście poważnie, ponieważ jest to przedmiot mojego żywego zainteresowania. Zresztą w tej dziedzinie następuje taka specjalizacja, że zawodnik nie poświęcający swego czasu studiowaniu teorii i wydarzeń szachowych wypada po prostu z kursu. Nie znaczy to, że ma się zmienić w komputer, ale amatorskie traktowanie tej gry dziś już nie może przynieść osiągnięć na terenie zawodniczym.

— A więc coraz bardziej nabiera znaczenia organizacja życia szachowego?

K.P.: Oczywiście, ale muszę stwierdzić, że w naszym kraju ta sprawa nie przedstawia się najlepiej. Daleko nam do wzorów nie

tylko radzieckich, ale również innych państw, które ten problem u siebie rozwiązały znacznie pomyślniej. U nas zawodnik musi pracować nad sobą metodą jeszcze co nieco chałupniczą. Przez to i wyniki nie są najlepsze. Wystarczy przytoczyć, że w pierwszej setce na liście najlepszych szachistów świata nie ma ani jednego Polaka. Myślę, że wkrótce konieczne będą posunięcia, które wyeliminują to niedomaganie.

— Ale ośrodek lubelski na tle krajowym prezentuje się dość pomyślnie...

K.P.: Tak. Choćby ostatnie wydarzenia. Ale i poza tym jest o czym mówić. Mamy sporą ilość dobrych graczy, mamy energiczną grupę juniorów, na drużynowych mistrzostwach Polski osiągamy lokaty w czołówce. Dodajmy, że posiadamy „zaniżoną” klasyfikację. To groźnie brzmi, ale jest zjawiskiem nawet korzystnym. Polega na tym, że lubelski zawodnik np. pierwszej kate-

lem szczęście zobaczyć halę produkcyjną symbolicznie jakby przepołowioną: w jednej części ustawione już były metalowe, nowoczesne krosna, w drugiej kuliły się trzwożnie w przewidywaniu wyrzucenia na śmieci stare drewniane krosna wprowadzone w latach dwudziestych aż z Frampola, a wyprodukowane jeszcze wcześniej, tak że mogłyby być ozdobą niejednego muzeum czy skansenu. Spółdzielni nie przyświecają jednak cele muzealne. Wkracza więc dumnie postęp w postaci metalowych krosien. I natychmiast w swoje przeciwieństwo się przemienia. Na nowych krosnach, znacznie cięższych, toporniejszych — zmniejsza się wydajność pracy tkaczek. Zmniejsza się produkcja całej tkalni. Postęp nie przyniósł tkaczkom ulgi. Przeciwnie, zwiększył ich zmęczenie i wysiłek na prostej zasadzie: żelazo jest cięższe od drewna, a nowe krosna trzeba — jak stare poruszać jedynie siłą mięśni. I killimy są teraz gorsze, cięższe. Nowe parametry technologiczne wymagają nowych technologicznych ustaleń. Nowych norm, nowych plac, nowej skali rentowności. Nikt jednak o tym nie pomyślał. Rece tkaczek, zniszczone ciężką pracą, gładzą pieszczotliwie wyswiecone potem drewno przeznaczonych na wyrzucenie krosien. „One, proszę pana dziennikarza, poddawały się nam przy pracy. Chwialiły się wraz z ruchem naszych rąk. A te nowe — sztywne jak kosiolotrupy. Dostajemy 18 złotych za kilim. Na drewnianych krosnach mogłyśmy zrobić i cztery dziennie. Na tych postępowych robimy najwyżej dwa. Żaden zarobek. Już lepiej w domu siedzieć, gacie mężowi prać”.

Okrutnego pecha ma Szchebrzeszyn z tym swoim postępem.

gorli często dysponuje większą siłą gry niż gdzie indziej kandydat na mistrza. To jest, przykre dla naszego zawodnika, bo obniża mu „rangę”, ale nie szkodzi, a nawet do pewnego stopnia wychodzi na dobre środowisku.

— A jak pan widzi przyszłość lubelskich szachów za parę lat?

K.P.: Trudno mi prorokować, ale na podstawie istniejących danych nie ma powodów do melancholii. Istnieje nieoczekiwanie duże zainteresowanie szachami wśród najmłodszych. Znaczna ich część woli obecność przy szachownicy niż pogoń za piłką. To nawet można uznać za zjawisko powszechne. Obniża się przeciętny wiek czynnego i sprawnego zawodnika w szachach. Zdarzałyby się, że jest to gra wyłącznie dla „starszych panów”, ale okazuje się, że kilkunastoletnie mlókosity często lepiej tu sobie radzą, a życiową formę osiąga się dziś przed trzydziestką.

— Jeszcze jedno. Nad czym pracuje pan obecnie?

K.P.: W Lublinie od szeregu lat odbywa się poważna impreza pod nazwą Międzynarodowy Festiwal Szachowy im. PKWN. W roku przyszłym odbędzie się ona po raz dziesiąty, a więc mamy do czynienia z okragłą liczbą. Impreza gromadzi wielu szachistów z Polski, z Związku Radzieckiego, z krajów demokracji ludowej, a także z NRF, z Holandii i innych. Dla Lublina jest to poważne wydarzenie również w sensie kształcenia, ponieważ równoległe z rozgrywkami tej czołówki odbywa się tzw. turniej B, w którym uczestniczą przeważnie zawodnicy lubelscy. Zebrało się już wiele materiałów związanych z tym turniejem. Jestem w trakcie ich opracowywania i chciałbym je opublikować w formie książkowej.

— Mam więc powód do zyczeń również na tym terenie. Będzie to chyba nowy gambit. Wydawniczy. Rozmawiał: Zygmunt Mikulski

Prestiż działaczy społecznych? Władzy? Sprawowanie władzy jest atrakcyjne. Ale nie w Szchebrzeszynie. Jakaż to władza, która w rubryce budżetowej: „inwestycje” ma poziomą kreskę. Jakaż to władza, która sama nie przedsięwzięć nie może, bo o wszystkim „powiat” decyduje. Pozostaje wypełniać kwestionariusze, podatki zbierać. W tych czynnościach nie ma zacynu, który pozwalałby gruntować prestiż. No i donosy ciągle. Długo się utrzymać nie można (licząc średnio — przewodniczący MRN zmieniają się co dwa lata). Więc amatorów na stanowiska brak.

O wiernej miastu od lat Szperówce, która nigdy nie chciała zrezygnować z praw przedmieścia, aż wreszcie straciła na tym uporze nie otrzymując od cara uwłaszczeniowych serwitutów, o tej Szperówce zdarza się w Szchebrzeszynie usłyszeć: „Też mi przedmieście, do którego nawet drogi nie ma”. Ale Szperówka — rzeczywiście bardziej wieś niż przedmieście przypominająca — ma wiejski wodociąg. A Szchebrzeszyn żadnego wodociągu nie ma. Ani miejskiego, ani wiejskiego.

Na przedmieściu Błonie mieszkają dobrzy, bogaci gospodarze. Miasto wciąż obcuje, że podciągnie do Błonia asfalt, nawet chodnik, ale na razie na obietnicach się kończy. Ale Błoniu ten chodnik nie wiadomo czy potrzebny w ogóle. I bez chodnika umieją trafić tam Holendrzy, aby kupić dorodne konie „remontowe” (jak się za ulańskich czasów powiadało) czy też „eksportowe” (jak się dziś powiada); konie, z których wieś okoliczna słynie.

Jedyny większy zakład przemysłowy — cukrownia, też znajduje się na przedmieściu. Cukrownia nie

tylko z cukru znana. Szchebrzeszyn nie ma karawanu — cukrownia Klemensów karawan posiada. Nawet karawan z przedmieścia przy okazji co paradniejszego pogrzebu pożyczać trzeba.

Mgr Szczepkowski, dawniejszy właściciel apteki, obecnie jej kierownik, farmaceuta z dziada pradziada (już jego ojciec był tutejszej apteki właścicielem) mówi:

— Dawniej, w dni targowe, dzwonek u drzwi nie przestawał ani na chwilę dzwieć, w aptece aż się klebiło. Dziś ruchu jest nieporównanie mniej i tylko do południa. Potem, jak zwykle, z rzadka przychodzą miejscowi. Chłop już w Szchebrzeszynie nie kupuje. PKS-em i koleją wszędzie zajadzie. Dawniej i PKS-u nie było i na bilet nie było. Pamiętam, przychodził do mnie w latach trzydziestych chłop z receptą dla chorego dziecka. Patrzy na kwit. „Pięć złotych? — mówi — To dla mnie za drogo. Nie wezmę”. „Ależ niech pan zrozumie: bez tego leku dziecko umrze”. „Będzie jak Bóg da”. I już zawija drobne, co je z chusteczki wysupał i już go nie ma w aptece. Przypomniała mi się ta scenka — ciągnę mój informator — kiedy wczoraj obsługiwałem „współczesnego chłopca”. „Co? Pięć złotych lekarstwo kosztuje? Coś za mało. Nie, nie wezmę”. Za tanio mu było, pan rozumie? Taką mają obecnie moi klienci ze wsł mentalność: drogie — dobre, tanie — złe, taniego nie biorą.

Wieś okoliczna wzbogaciła się. Szchebrzeszyn stał się dla niej za tani.

Stefan Kozicki

Rozmowa z Marianem Pilotem

Lament nad chłopskością traconą



Fot. G. Rutowska

— Dostę dawno, chyba ze dwa lata temu, zamierzałem napisać „większą rzecz” o panu i pana prozie. Lecz akurat wtedy poczęły mnie nękać zmagania w sens potykania się owej łagodnej nekrofilii, jaką jest krytyka literacka, z bezradnością wobec świata, jaką jest literatura. I nie napisałem „większej rzeczy” o Pilotcie. Dziś dzieci nam się nieco postarzały, pan zapuścił brodę, więc fotografia jego trochę nieaktualna, Nowakowski natomiast zgolił brodę, a mnie stać tylko na rozmowy z pisarzami. Chciałem więc teraz pana spytać, po co pisarzowi krytyk literacki, czy on mu jest potrzebny? — zwracam się do Mariana Pilota.

— Przed wszystkim w ogóle potrzebna jest krytyka nie manipulująca, potrzebny jest krytyk, który nie gani lub chwali pisarza z fałszywych pobudek, jak na przykład swego czasu chwalono nurt chłopski w naszej prozie. Sam się wówczas wstydziałem, choć mnie chwalono, ale równocześnie... upiśniano. Uczciwa krytyka pozwala pisarzowi zrozumieć samego siebie. Drugi człowiek pomaga się określić pisarzowi.

— Przy uczciwym czytaniu i uczciwej krytyce ta relacja jest dwustronna, jeśli i pisarstwo jest uczciwe. Takie pisarstwo pomaga krytykowi zrozumieć samego siebie. Z czego pana zdaniem wyrasta potrzeba czytania i potrzeba pisania?

— Głównie z niezadowolenia z samego siebie, konieczności dopełnienia siebie, pragnienia zrozumienia siebie. Towarzyszy temu poczucie własnej nieautentyczności w świecie i stąd próba rozeznania się w tym poprzez pisanie lub czytanie. Pisarz, tak czy owak opowiadając siebie, próbuje dochodzić do swego życiowego statusu. Byłby to jakiś wysiłek poznawczy, próba bycia sobą. Bardzo żywo wyraża to moja ostatnia książka, „Majdan”. Może tkwi w tym odpowiedź na pewne czytelnice potrzeby? — Narrator jednego z pańskich utworów tak powiada: „Moje chłopstwo od dawna tylko niby-chłopstwo, byle chłopstwo, to prawdziwe, przez lata nauk i miejskich służb zleniło się ze mnie jak z krowy zimowa sierść; a mimo to nigdy nie potrafiłem odciąć się od niego do reszty”. Podejrzewam, iż jest to projekcja pańskiej własnej sytuacji w świecie. Jakiś lament nad chłopskością traconą?

— Ow lament w nurcie literatury, którą i ja reprezentuję, jest nieustający. U Ożoga, Nowaka choćby... To pokolenie może się tak do śmierci żegnać ze swoją chłopskością, uświadamiając sobie, że coś traci, chyba wartościowego, i uświadamiając to przy okazji innym.

— Szczerze mówiąc, nie jestem zwolennikiem takiego kawałkowania literatury: nurt chłopski, szlachecki, mieszczański... O co tu bowiem idzie? O tematykę twórczości? Sam pan wie, że podobny temat można rozmać ująć i rozmaity sens może wynikać z takich ujęć jednego tematu. Temat to zbyt kruche kryterium sensownego mówienia o literaturze. A może tu idzie o pochodzenie pisarzy? Lecz wtedy byłaby to kwestia socjologiczna głównie, nie przeczę, że interesująca, ale dla samej literatury jakby uboczna.

— Ani kryterium tematyczne, ani socjologiczne nie wyczerpuje zjawiska nurtu chłopskiego w literaturze. Samo zjawisko jednak istnieje, tylko trzeba dłań poszukać innych, chyba głębszych określeń, do których my tu w tej rozmowie z pewnością nie zdołamy dotrzeć. Niewątpliwie w historii obok nurtu kultury szlacheckiej, był też silny nurt kultury chłopskiej w naszym kraju, płynący własnym, odrębnym korytem. Nie idzie o folklor tylko, ale również o koncepcję, niekoniecznie bezpośrednio uświadamianą, losu ludzkiego, poczucie na przykład naturalnej zgody na śmierć, pozaestetyczny stosunek do przyrody...

— Ze śmiercią może i prauada. Religioznawcy u plemion pierwotnych odkryli brak lęku przed śmiercią, traktowaną po prostu jako część życia. Ale czy w umię nie jest to inteligentnie gadanie pana Reymonta?

— Ja to tak widzę, ową odrębność kultury ludowej, choć może i na moje spojrzenie już nalożyły się jakieś miejsko-inteligentne filtry. Efektem wyzolenia się masy chłopskiej w naszym kraju było, że ludzie ze wsi przyszedli do miast, wykształcili się i zaczęli pisać książki, wyrażając wspomnianą koncepcję człowieczego losu. Może w tym tkwi pewien fatalistyczny determinizm tych pisarzy. W każdym razie to powrót do

Dokończenie ze str. 1

społecznej obecności plastyki należą do świata, który przeminął wraz z dwudziestolecie międzywojennym, kiedy to pojęcie dzieła sztuki było jeszcze jako tako zrozumiałe — wszyscy, twórcy i odbiorcy, zgadzali się przynajmniej, że jest to przedmiot materialny, trwały, uwieczniający osobowość artysty, przetłumaczony na język formy i symbolu. Szukalski chętnie zamordowałby kapistów, Winkler Pruszkowski, lecz cała ta antagonistyczna grupa padłaby sobie w objęcia, gdyby zaatakowano ją z pozycji podważających sens uprawiania sztuki, obliczonej na materialnie istniejący efekt — personalistyczne przesłanie wiary.

Biblijna wieża Babel wobec pomieszenia pojęć, terminów, definicji dzisiejszej sztuki jest doprawdy niewinnym, wesolym zjawiskiem. Ktoś metodycznie, po kawalku amputuje własnego członka. Ktoś wystawia siebie samego w witrynie sklepowej. Inni wysyłają listy do nieznanym sobie ludzi, ucą się publicznie na pamięć do niczego im niepotrzebnych tekstów, pokrywają ciało „makiżażem artystycznym”, okładają siebie samych pięściami, filmując ten proceder, albo rozdają ulotki o treści politycznej, głosząc zbawienie świata poprzez sztukę. Tysiące malują obrazy: realistyczne, hiperrealistyczne, kolorystyczne, metaforyczne, neofiguratywne, obtoczone w świetle elektrycznym i stereofonicznym dźwiękiem... A wszystko to określa się mianem sztuki, pokazuje, wystawia, o tym wszystkim ma kto pisać, to wszystko jest lansowane i zwalczane zarazem. Nie istnieje żadna płaszczyzna porozumienia się, choćby taka, na jakiej spotykały się, niezwykle liczne zresztą, grupy artystyczne dwudziestolecia międzywojennego. Na ostatnich „Documenta” w Kassel Ben Vautier pytał przy pomocy plakatów: „Co to jest sztuka?”, „Dlaczego sztuka?”, „Dlaczego sztuka zmienia się nieustannie?”, „Czy sztuka istnieje dla szczęścia?”

Nie miejsce by rozważać, jakie zjawiska rozwoju społecznego i

ogólnocivilizacyjnego wyzwołyły tę skomplikowaną sytuację i czy ma ona charakter przejściowy, czy też jest zapowiedzią nowej, wprost niewyobrażalnej postaci kultury. Można przecież łatwo dostrzec, że zrelatywizowanie w obrębie tej sytuacji wielu podstawowych do niedawna wartości artystycznych, szerzej nawet — kulturowych, wyjątkowo ostro i dokładnie poszukiwało u nas środowiska artystyczne, na dodatek odrzucając od sztuki szerszą widownię, co nie pozostało też bez wpływu na charakter i skalę mecenatu społecznego. Jeśli dwóch artystów, dwóch krytyków nie może dojść do porozumienia, czy to, co tu leży, jest dziełem sztuki, trudno wymagać, aby rzecz rozstrzygnął dyrektor kombinatu przemysłowego. Ostatecznie cała ta historia współczesna układa się na kształt błędnego koła.

Pomijając względy taktyczne, artyści środowisk wojewódzkich nie znajdują dziś żadnych głębszych motywacji do wspólnego wystąpienia np. na wystawie okręgowej. W latach powojennych na wystawach zbiorowych manifestowało się obecność środowiska, że ono jest, że oczekuje życzliwości i poparcia, wzajemnie obiecując spełnienie oczekiwanej roli kulturotwórczej. W ekspozycjach uczestniczyli niemal wszyscy członkowie ówczesnego ZPAP — także dlatego, że w takim np. Lublinie nie było zbyt licznych okazji i szerszych możliwości publicznego pokazania swego dorobku w formie wystawy indywidualnej. Potem okazało się, że wspomniane poparcie nie jest na miarę oczekiwań plastyków, a przeobrażenia wewnętrzne sztuki zaciemniają jednoznacznie dotąd wypunktowane cele kulturotwórcze. Skromne zainteresowanie społeczne i idące z nim w parze samobójcze poczynania sztuki, likwidującej ostatnią płaszczyznę wzajemnej tolerancji różnych kierunków artystycznych, doprowadziły do „rozwiania świadomości” wielu plastyków.

Spora grupa zajęła się wyłącznie działalnością użytkową, od czasu do czasu, dla zachowania pozorów, wykajając coś na okrągółki. W wielu wypadkach byli to ludzie, którzy

stracili wiarę w celowość uprawiania twórczości. Nieleż dziś zarabiają, mają pracownie, domy i niepodważalny system wartości — są potrzebni jak ogrodnicy, szewcy, agronomowie, księgowi, inżynierowie, lekarze... I nie ma w tym, jak chcieli by poniekąd, cienia specyfiki lubelskiej, albowiem zjawisko ma zasięg krajowy, a wyrosło na gruncie owego rozchwiania świadomości, braku porozumienia w kwestiach elementarnych, co jednocześnie rzu-

Sztuka z nieba?

tuje na sytuację społeczną artystów, na sytuację sztuki.

Dlatego właśnie wystawy zbiorowe, które organizuje się z myślą przedstawienia całego dobrodziejstwa inwentarza, kończą się dziś niewypałem, o czym świadczą wielkie, rocznicowe ekspozycje ogólnopolskie w Warszawie, upadek inicjatywy radomskiej, wątpliwe efekty przeróżnych festiwali sztuki, a także, choć to nieco inna sprawa, kryzys wartościowych niegdysz plenerów w koszańskich Osiekach, przede wszystkim zaś — chroniczna anemia ekspozycji okręgowych.

Dokończenie ze str. 1

jedynie przez harcerzy i zakochane pary. Z czasów miejskich pozostał rynek, kilka ulic, czerwony budynek prawosławnego seminarium, wspomnienie po siedzibie sądu grodzkiego i herb: na czarnej niedźwiedzi biała panna w koronie.

Już za „Polski gromadzką” nowe budynki, kwiaty, asfalt i chodniki zdobyły sobie prawo obywatelstwa. To, że miejsce bagienka zwanego dla tradycji rynkiem zajął skwer, że urządził gminny mieści się dziś w nowym, choć odziedziczonym po gromadzkim przydzium budynku — ma ścisły związek z ową miejską przeszłością. Świadomość okazała się silniejsza od praw formalnych i zamieniła się w konkretne a dobrowolne zlotówki i społeczne machanie łopata. To nie, że niekiedy ową świadomością trzeba było do społecznej pracy mobilizować kołataniami od drzwi — ważne, że było komu kołatać.

Na dzisiejszą „Polską gminną” spogląda się tu jak na coś normalnego, co się słusznie od historii Sawinowi należy. Może gdzieś tam tkwią głęboko ukryte nadzieje, że owa gminność pewnego dnia znów zdoła osadzić w miasto przekształcić...

Naczelnik w dalszym ciągu nie ma. Jest natomiast kierownik ośrodka zdrowia, jedyny lekarz medycyny na siedem tysięcy mieszkańców nowej gminy. Był partyzant, żołnierz, asystent Akademii Medycznej, aktualnie radny, no i specjalista od wszystkiego, przyjmujący po 30—40 pacjentów dziennie. Serdeczny, rubaszny szef gminnej służby zdrowia w składzie: jeden dentysta, jedna położna, pielęgniarz. Tu w budynku, gdzie każdemu mocniejszemu stąpnięciu towarzyszy delikatny pobrzęk leżących w oszklonych gablotach narzędzi, po raz pierwszy pojęcie gminy przekształca się w wizję nowego ośrodka zdrowia z trzema lekarzami. Tak w gminie ma być, tak być musi. Plac jest, ludzie pomagają. I nagle w mrocznym gabinecie jawi się zarys czegoś nowego o wielkich oknach, wygodnych poczekalniach, nowoczesnym wyposażeniu, jeszcze mglisty, jeszcze niewyraźny, ale... Tę gminę jak i wszystkie inne utworzono dopiero w styczniu. Jeszcze ten noworodek, żeby użyć lekarskiej nomenklatury, nie zna ani swoich możliwości, ani swojej siły. Zna już natomiast potrzeby. Przynajmniej te podstawowe.

A lekarzy weterynarii jest w Sawinie dwóch. Księży też jest dwóch. Ten starszy to nieco dziwak o złotym sercu przysparzający wszelkie stworzenie boże, zwłaszcza jeżeli owo stworzenie jest kotem, ukazujący się w kufajce, rozchełstanej koszulki i gumiakach, na wiecznie psującym się traktorze. Ostatnio traktor zamilkł zresztą definitywnie, a ksiądz-chłop jakoś przestał odpowiadać gminnemu zapotrzebowaniu na osobę duchowną.

Dawne seminarium prawosławne, pełniące dziś funkcje szkoły dla uczących się na dwie zmiany 340 dzieci, będzie musiało w niedługim czasie pomieścić ich prawie 700. Tu bowiem będzie szkoła zbiorcza, do której dowożone będą dzieci z całej gminy. Będą dowożone... Właśnie z zebrania w Czulezycach wrócił sekretarz Komitetu Gminnego partii, a zarazem dyrektor sawińskiej placówki oświatowej. Dowozić się będzie dzieci... Ktoś? Droga potrzeba w tej gminie co najmniej 30 kilometrów, a według planów stać ją będzie rocznie najwyżej na trzy kilometry. Arytmetyka mówi, że to sprawa dziesięciu lat. Życie nie może się zatem opierać na arytmetyce. Jeżeli większe dzieci mają mieć ten sam poziom startu w gminie, co ich młodsi rówieśnicy, to jest to nie tylko sprawa dróg. Stare seminarium budowane jeszcze w ubiegłym stuleciu, na przebieg renowacji, ma zostać uzupełnione dodatkowym skrzydłem za kilka milionów złotych. Za taką cenę planuje się staruszkowi przyłatać nową protezę. Ile razy rozmowa, obojętne z kim, schodzi na temat tej przybudówki, schodzi za bardzo często — rozpoczynają się pytania adresowane do zdrowego rozsądku, rozpoczynające się niezmiennie od: „a gdzie?” i „a czy?” A gdzie pomiesz-

czą się w tej szkole, nawet z przybudówką, urządzenia sanitarne, nie ustępy, ale prysznice, a gdzie sala gimnastyczna, a gdzie stolówka dla dzieci, gdzie będą czekały na autobus, czy tak jak teraz obsiadujące parapety nowego pawilonu handlowego? Czy warto ładować pieniądze w remont truposza? Czy warto planować tylko na kilka lat, czy lepiej od razu zobaczyć perspektywę tej średniej szkoły, która już niedługo stanie się powszechnie obowiązującą? Perspektywa... Nie tak dawno w niedalekiej wsi zbudowano nową szkołę. Z mieszkaniem dla nauczycieli, a jakże! Tylko już dziś dzieci tam mało i szkole trzeba będzie likwidować. Z ust dyrektora, łagodnego, dobrego człowieka, mówiącego głosem cichym i skłonnego do uśmiechu, pada dosadne „psia krew”...

Pani Irena kończy pracę w bibliotece i rozpoczyna wędrowkę od domu do domu, przypominając gospodyniom, że dziś o godzinie 16 rozpocznie się kurs cukierniczy, któryś tam z kolei po masarskim, kra-

NOWORODEK

wieckim, piekarniczym. Pani Irena ma troje dzieci, pracuje zawodowo i przewodniczy kołu gospodyń. Teraz wraz z innymi codziennie przez dziesięć wieczorów zgłębiać będzie tajniki przyrządzania różnych słodkości, a zwłaszcza takich, których nie trzeba wstydzić do pieca. Pani instruktorka z Chełma twierdzi bowiem, że współczesna kobieta nie ma czasu na wyrabianie ciasta i powinna umieć wykorzystywać wafle, kekсы, biskopty. Zeszyty słuchaczek zapelniają się tajemną wiedzą o czekoladowym czy śmietankowym kremie, pisaną odwiecznym kobiecym szyfrem: jedna łyżka masła, trzy łyżki cukru, olejek...

W tym gronie pojęcie gminy ma inny kształt. Kształt żłobka, przedszkola, mechanicznej pralni, łazieni, fryzjera, kosmetyczki i dużego wyboru sweterków w sklepie. Są to sprawy bardzo tu ważne, jeżeli Sawin ma być ośrodkiem promieniującym na całą gminę.

W przyszłym tygodniu gminna rada kobiet ma złożyć naczelnikowi coś na kształt programu działania, uwzględniającego najpilniejsze babskie potrzeby nie tylko w samym Sawinie, ale i we wszystkich wsiach podległych. Kobiety są wyraźnie poruszane perspektywą tej rozmowy. Te gminne rozmowy „na szczeblu”, a było ich już kilka w różnych środowiskach i miejscowościach, to w historii Sawina rzecz bez precedensu. „Co ten chłop bierze sobie na głowę?” — dziwią się jedni, a drudzy dodają: „żeby go tylko nie sprawdzili na manowce, bo ludzie to potrafią”.

Naczelnika tymczasem w dalszym ciągu nie ma. To już szósta godzina oczekiwania. W szkole rozpoczyna wykłady Uniwersytet Powszechny. Wiele rzeczy dzieje się w tej szkole. I będzie się działo tak długo, aż zakończona zostanie budowa domu strażaka. Sądząc po nadziejach związanych z tym budynkiem, powinien on być co najmniej na miarę Pałacu Kultury w Warszawie. Spodziewają się tam znaleźć swój kąć i młodzi z ZSMW i Koło Gospodyń i Kółko Rolnicze i poczta i kino...

Święty Florianie — patronie strażaków, kto i kiedy ci podziękuję za społecznie pełnioną funkcję mecenasa kultury i wszelkich innych poczynani? Sprawa, aby w tym nowym budynku pomieścić się również strażackie sikawki: inaczej twój podopieczni znów będą bez dachu nad głową, bo przecież i klub rolnika trzeba pod strażackim hełmem pomieścić, jako że stary budynek, na którym dotychczas rezyduje, ma być rozebrany, a na jego miejscu kwiatki posiane.

Dokończenie na str. 10

Kamena str. 6

Rzadzi nimi przypadek. Na poprzedniej wystawie okregowej w Lublinie zabrakło kilku czołowych artystów, na obecnej przeciwnie — niby to skromna ilościowo ekspozycja prezentuje właściwie wszystkich interesujących malarzy Lublina: Władysława Filipiaka, Andrzeja Kolodziejka, Ryszarda Lisa (choć ten zaniedbał zbyt galanteryjnym potraktowaniem tzw. komplikacji człowieka losu), Brunona Nagrodzkiego, Jana Popka, Jerzego Durakiewicza. Działła w Lublinie przynajmniej kilka ciekawych indywidualności twórczych, o czym świadczy paryski sukces Zofii Kopeł-Szulc, godne uwagi wyróżnienie Henryka Szulca na imprezie towarzyszącej Międzynarodowemu Biennale Grafiki w Krakowie, imprezie również międzynarodowej, zaproszenie Ryszarda Lisa do udziału w wystawach sztuki polskiej w Kanadzie oraz finalizowane wystawy lubelskich malarzy w czołowych, tzw. autorskich galeriach krajowych.

Mimo tego, mimo uruchomienia galerii „Labyrinth” — warto odwiedzić staromiejski przybytek Andrzeja Kozłary — oraz ufundowania dorocznej Nagrody Plastycznej Lubelszczyzny i powołania Zespołu do Spraw Plastyki przy Woj. Komisji Rozwoju Kultury, nie należy spodziewać się jakiegokolwiek artystycznej w Lublinie. Nie te czasy, proszę państwa, dziś na wystawach całego świata eksplodują co najwyżej petardy.

Ze złą w oku wspominają dziś niektórzy amatorzy refleksji historycznej piękne czasy „Zamku”, obracając białym wszystkim, co po nim nastąpiło. Owszem, rzeźna to, lecz i wredna opozycja; wtedy byli i działali artyści, teraz kilku twórców maluje w rozproszeniu i nikt o nich nie wie, bo takie to są lokalne układy.

Powiadamy więc od razu, że sukces artystyczny i po części społeczny „Zamku” był możliwy tylko za sprawą określonego czasu historycznego, który zdjął anatemę z tzw. sztuki nowoczesnej. Rozluźniła ona wyobraźnię i ambicję artystów, uderzyła w konwencjonalne upodobania zdecydowanej większości pu-

bliczności, zarysowała ostrą, lecz ujawnioną w sposób naturalny i spontaniczny linię podziału w samym środowisku twórczym, a także wśród odbiorców sztuki. Czas był gorący, sprzyjał formułowaniu kategorię sądów, konfrontacjom, ideowym potyczkom i walkom. Bo była w tym czasie głęboka wiara w sens usprawniania sztuki, była nadzieja na wprowadzenie jej znaków i wartości w krwioobiegi społeczny, była niechęć do konformizmu, doprowadzona do niemalże karykaturalnej postaci. Mimo że nie było pracowni, mecenatu zakładów przemysłowych i instytucji, stypendiów.

Okoliczności sprawiły podarunek Lublinowi w postaci grupki młodych malarzy — raczej amatorów, którzy pod sztandarami nowoczesności, kojarzonej nieraz z twórczością Picassa, poszli ostro do przodu. Mniej więcej wiedzieli, czego chcą, dysponowali przynajmniej szkieletem programu, byli agresywni — ostali się, robiąc dobry ruch w lubelskim interesie artystycznym. Co prawda w roku 1957 ktoś zauważył, że „w Lublinie trudno mówić o środowiskach plastycznych, skoro twórców prawdziwych jest aż... dwu; trzeci mieszka w Kazimierzu, czwarty czeka na emeryturę, a piąty się jeszcze nie urodził”, lecz świadczy to przede wszystkim o różnicy w ocenie sytuacji. Co prawda w roku 1958 ktoś znający sprawę stwierdził, że „sytuacja materialna lubelskich artystów jest godna pożałowania”, natomiast spory między ZPAP, a „Zamkiem” istnieją na podłożu bardzo prozaicznym, nie artystycznym, to jednak nie zmienia to faktu, o którym była już mowa. W Lublinie wrzało, Ludwiński chwalił „Zamek” oraz Filipiaka i Kononowicza... Woźniakowski i Bogucki chwalił „Zamek”, czego nie można powiedzieć o gazetach miejscowych, które raczej milczały. (Propagowała „Kamena”).

W momencie, kiedy opadły pierwsze emocje spożywania zakazanego owocu, gdzieś na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, „Zamek” rozpadł się, a jego dawni członkowie co najwyżej bulwersowali widzów na wystawach,

nie wzbudzając ani gniewu, ani głębszej miłości. Stało to się zresztą udziałem całej krajowej awangardy, znajdując pośrednio wyraz w malejącej liczbie publikacji krytycznych na temat sztuki. Do niedawna pełniąca funkcję swoistego testu ideologicznego czy światopoglądowego, albo po prostu zaskakują-

pisal: „Wystawa... przypada na okres wyraźnego kryzysu jako przeżywa plastyki polska. Niepowodzenie czy przesył inspirowanych i modnych okresów, socrealizmu a potem malarstwa bezprzedmiotowego, z jego pozorną wrzawą — zrodziły ciszę, która zalega niejedną pracownię”. Kryzys więc, jak to

lania samobójcze, „schizofrenia ideowa” dotknęła samych artystów.

Powstała w tym czasie „Grupa Lubelska” nie odegrała żadnej roli, istniejąc właściwie tylko na papierze, bo jej powstanie wiąże się z okresem, kiedy autoironia, autostruktura i totalny relatywizm zaczęły decydować o charakterze (i) poczynań, powiedzmy, artystycznych. Głęboko zróżnicowana wewnętrznie — nie tylko pod względem postaw twórczych — okazała się chimerycznym przejawem dobrej woli.

Pilnie potrzeba w Lublinie pracowni, uruchomienia mecenatu społecznego, liczniejszych publikacji na temat plastyki tu powstającej. Ale nie spodziewajmy się, że po zaspokojeniu tych potrzeb wybuchnie jakiś gejzer wartości artystycznych, który postawi w stan pogotowia bataliony publiczności. Nie ma mowy, ani tu, ani gdzie indziej do tego nie dojdzie. Prześtafmy liczyć na eksplozję z dnia na dzień, powodowaną przez li tylko lokalne działania. Nie ulegajmy złudzeniom, że sztuka jest bytem niezależnym od rzeczywistości społecznej, ekonomicznej, kulturowej i politycznej, że jej idee spadają z nieba, a warunki materialne zależą od zlej lub dobrej woli obywatela przewodniczącego. Sentymentalne wspominki i wyciekanie na Bóg wie co prowadzą do pomniejszania dorobku aktywnych obecnie artystów, hamując podjęcie konkretnej roboty. Pracują w Lublinie twórcy, którzy nie poddają się modnym zwątpieniom i frustracji, a jeden z nich to nawet głos, że bardzo kocha życie i malowanie obrazów. Ma on swoich zwolenników, którzy nie liczą się na tysiące, to prawda, lecz przestańmy wreszcie rozpatrywać sprawę instytucjonalnego popierania twórczości w kontekście masowego oddziaływania. Jeśli Marek Nowakowski i wielu innych pisarzy w Polsce i za granicą cel swojego działania widzą w okazji intymnej rozmowy z czytelnikiem, jaką stwarza opublikowana książka, to na jakiej niby zasadzie wymagają, aby malarz trafił do tysięcy? Od tysięcy jest telewizja.

Ireneusz J. Kamiński



Przed obrazami Filipiaka

Fot. CAF (Z. Jaśkiewicz)

egzotyką formy, z upływem czasu i z chwilą oficjalnego usankcjonowania sztuki „nowoczesna” spowszedniała, w sensie społecznym stała się neutralna! W roku 1961 we wstępie do katalogu wystawy okregowej, po raz pierwszy w takim zakresie prezentującej projekty form użytkowych, co można uznać za znak czasu, Marian Makarski

trafnie zauważył Makarski, malarz przecież, miał charakter ogólnokrajowy.

Kiedy zaś, mniej więcej w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, sztuka uwikłała się — mamy zapewne do czynienia z procesem obiektywnym, niezależnym od indywidualnych pragnień — w dzia-

Z tymi kwiatami w Sawinie to jest dziwna sprawa. Wszyscy je lubią, wszyscy są z nich dumni, ale sady się je tylko przed budynkami urzędowymi: bankiem spółdzielczym, urzędem gminnym, szkołą czy spółdzielnią. Z pewną ciekawością patrzy się w Sawinie na nowo wznoszone koszem wielu wyrzeźbionych nauczycielskie domki jednorodzinne. Czy przed nimi też znajdzie się miejsce na kwiatniki? Bo jak do tej pory przy domowych ogródkach najpiękniejsze róże przegrywały z marchwią i pietruszką. Ziemia musi rodzić plody bardziej użyteczne.

Stosunki własnościowe są w Sawinie zagmatwane. Na dobrą sprawę kilkadziesiąt hektarów ziemi gdzieś się ulotniło między wąskimi plachetkami i rozproszonymi zagonami składającymi się na dwu-, cztero-hektarowe gospodarstwa. Ile razy mowa jest o ziemi, tyle razy pada słowo — komasażka. Wszyscy tu o niej mówią, niby wszyscy uznają jej potrzebę. Ktoś jednak z uporem przypominając, że już dwukrotnie przystępowano w Sawinie do scalenia gruntów, lecz przy każdej próbie wybuchala niemal lokalna wojna. Wniosek powinien nasuwać się sam. Ale nawet przyjmując odpowiedzialność za wybuch nowego konfliktu, sawiniacy procesowi komasaży poddać się muszą. Grunty tu nie najlepsze, czwarta, piąta klasa, pizenica ani burak nie urodnie. Pozostaje hodowla. W niedalekiej perspektywie ilość bydła i trzody podwoi się i potroi. W ludzkiej wyobraźni stada laciących i miesno-słoninowych zajmują wiele miejsca. Nie istniejące jeszcze kilogramy „masy mięsnej” przelicza się już na złotychki, a te zamienia się na wymarzone budynki, maszyny, samochody wreszcie... Chłopska głowa to nie lada komputer... Byle tylko były nawozy, pasze tręścio, kosiarki, melioracja, drogi, elektryfikacja — no i to scalenie gruntów.

O godzinie 19 jest wreszcie naczelnik gminy. Dwudziestopięcioletni, wysoki, technik-rolnik z wykształcenia. Spokojny, rzeczowy, zmieniający język cyfr i wskaźników, których gminie nie poskąpiono, na nazwiska gospodarzy, kawalki grunt i plan poczynań... Ta gmina to jego osobista szansa również. Każdy człowiek pragnie się sprawdzić w działaniu. W jakim stopniu on zdaje sobie sprawę z nadziei, które ludzie z tym jego działaniem wiążą? Na ile starczy mu wrażliwości, energii, wyobraźni i zwykłej fizycznej odporności, żeby te nadzieje spełnił? Za wcześniej jeszcze na odpowiedź. Oby starczyło mu również cierpliwości w użeraniu się z niektórymi powiatowymi urzędnikami, którzy z papierkiem i stemplem wiążą w jego kompetencje i prawa. Tak jakby ta cała historia z gminami dotyczyła jedynie zmiany tabliczki na urzędowym budynku, a nie stylu administrowania i gospodarzenia na wsi.

Krystyna Kotowicz
Janusz Weroniczak

Zapładnianie jałowej

Maria Bechcyc-Rudnicka

NA początku stycznia Biuro Organizacji Widowni w Teatrze im. J. Osterwy rozpowszechniło wśród sympatyków lubelskiej sceny dramatycznej elegancką ulotkę z życzeniami pomyślnego 1973 r., z jego kalendarzykiem cyfrowym tudzież repertuarem na pierwszy kwartał. Związków komentarz do niego zachęcał, by sympatycy obejrżeli m. in. *tragiczną miłość ciemnego Othello do białej Desdemony* — zakłóconą zazdrością postawą *Jaganc*, a w „Reducie 70” Borysa Korsaka „Lata pątkiem pisane”, *wspomnienia wyrwanego z nalogu alkoholizmu*, nadto „Yerma” Federica Garcia Lorki, przedstawienie powstałe w wyniku współpracy z Teatrem Laboratorium J. Grotowskiego. *Trudny, filozoficzny problem jałowości twórczej*, ukazany na przykładzie *bezpłodnej kobiety*.

Minął luty. Dreszczowiec „Othello” leciał kompletami, drogą byłego alkoholika w nowe życie, mam nadzieję, nie każe długo na siebie czekać, „Yerma”...

Otóż „Yerma” Lorki w pewnym sensie znikła. Wiadomą jest rzeczą, iż życiodajna esencja teorii i praktyki Grotowskiego od ładnych kilku lat przenikała w Polskę i za granicę wszystkimi porami studenckich organizmów teatralnych, ale nawiązanie bezpośredniego kontaktu teatru wojewódzkiego z Teatrem Laboratorium w postaci choćby mini-współpracy personalnej bez wątplenia należy do nie lada ewenementów. I to się właśnie dyr. K. Braunowi udało.

Udało się mianowicie doprowadzić do *zderzenia docieklności* Zbigniewa Cynkutisa i Ireny Mireckiej, stałych współpracowników Jerzego Grotowskiego we Wrocławskim Instytucie Aktora — z żarliwością Zbigniewa Górskiego, Jadwigi Jarmuł i Urszuli Rydzewskiej, aktorów Teatru Osterwy, mających doświadczenia w całkowicie odmiennym toku pracy — jak formuluje tę oczywistość Cynkutis.

Gdy mówię o zniknięciu „Yermy”, nie ma w tym bynajmniej przygany, jest po prostu konstatacja. Powtarzane uprzednio z namaszczeniem hiszpańskie imię kobiecie istotnie szezeło najpierw z rozkładu prób, wreszcie z drukowanego programu teatralnego. Znikło również nazwisko Lorki.

— I słusznie — powie każdy, kto w jakimkolwiek stopniu poznał symbol wiary Teatru Laboratorium, dla którego dzieło literackie, ściślej mówiąc myśl dzieła literackiego, może być jedynie punktem wyjścia do samostnych poszukiwań wyrazu psychodynamicznego.

Toteż wyciągając rękę po chronione w moim księgozbiore od r. 1931 „Wiersze i dramaty” Garcia Lorki ani przez chwilę nie roilam, by wiele się ostało z „Yermy” w „Jałowej”, przygotowanej na intymnej, eksperymentalnej scenie „Reduty 70”. Gest mój tłumaczy się raczej wieloletnim nawykami pedantycznego krytyka, który odruchowo sięga do praźródła spektaklu.

Skoro się jednak sięgnęło w celach rekapitulacji po tom pięknie wydany przez Książkę i Wiedzę z drzeworytami Marii Hiszpańskiej, tak sugestyjnie oddającymi klimat kraju, od którego nazwy wywodzi swe nazwisko artystka, wybitny grafik — skoro, mówię, już się wróciło do

treści „Yermy” Garcia Lorki, przypomnijmy je także naszym czytelnikom.

Otóż z powstaniem tego dramatu związane jest wydarzenie, o którym opowiada Zofia Szleyen. Były to lata trzydzieste. Lorca mieszkał wtedy przez jakiś czas w Urugwaju, u jednego ze swych zamorskich przyjaciół. W jego własnym domu pisał swoją „Yermę”, która wkrótce szeroko spopularyzowała się w Ameryce Południowej. Razu pewnego, w okresie karnawału, Lorca jechał wolno w otwartym samochodzie ulicami Montevideo. Nagle jakaś młoda robotnica dopadła wozu i rzucając na kolana poety swego małego synka, zawołała: „Federico, pocałuj go w czolo!”

Lorca zawsze pragnął być poetą ludowym. Wędrując stale po swojej rodzimej Hiszpanii, wstępował do wiejskich chałup i kazał sobie śpiewać stare pieśni. Notował słowa i melodie, odtwarzał brakujące fragmenty, tak że — posłuszę się znów cytata z eseju Zofii Szleyen — „Strumień piękności” przepływa od poety do ludu i od ludu do poety. W ten sposób m. in. podłuchane pod oknem chat kołysanki przerodziły się w przedziwne piosenki, dla nienarodzonego dziecka w chłopskim dramacie *bezpłodnej kobiety*.

Zatem „Yerma” Lorki jest sztuką poety-folklorysty, odtwarzającą w aurze poetyckiej, lecz z całą dosłownością, realną obsesję prostej andaluzyjskiej wieśniaczki.

W gruncie rzeczy każde dzieło sceniczne (poza teatrem faktu) jest metaforą. Lecz jakże wielką odległość dzieła na wskroś poetycką metaforę Lorki od psychodynamicznych metafor i symboli scenariusza Cynkutisa i jego dobranej dobranej współpracowników, dążących do pokazania „trudnego filozoficznego problemu jałowości twórczej na przykładzie *bezpłodnej kobiety*”.

Nie raz i nie dwa deklarowałam z całą stanowczością moją osobistą gotowość akceptacji każdej formuły artystycznej popartej wartościowymi realizacjami. Jeśli więc w danym wypadku „zdarzenie” przygotowane przez Zbigniewa Cynkutisa i Irenę Mirecką, współpracujących z trójgłosem lubelskich aktorów, budzi we mnie jakiegoś opory, zrodziły się one nie z przywiązania do starszowieckich konwencji teatralnych, lecz z faktu, iż koncepcja „Jałowej”, odkształcająca teatr poetycki Lorki, jest niezbyt szczęśliwym „specimenem” współczesnej mieszanki neoekspresjonizmu i spopolitowanego już brutalnego naturalizmu, w której aktorzy spotęgowanym wyrazem swoich przeżyć spływają, a nawet wręcz degradują, problem filozoficzny, o jaki im chodziło.

Daleko tu nie tylko do praźródła literackiego (co nie powinno dziś zaskakiwać wyrobionego widza, jako zasada usankcjonowana w szerokiej praktyce teatralnej), lecz daleko też do natchnionego teatru Jerzego Grotowskiego. „Jałowa” jest jak gdyby rozkojarzoną reprodukcją „ciała” tego teatru bez jego ducha.

Oczywiście rozpoznaje się tutaj wywodzące się jeszcze z teorii Artauda pewne zasady Te-

atru-Laboratorium: odejście od tekstu pierwotnego, z którego zrodziła się naczelna myśl „zdarzenia”, podporządkowanie słowa dowolnego tekstu zbiorczego ekspresyjnym działaniom fizycznym, dążenie do wspólnego miejsca sakralnego dla aktorów i widza, próba osiągnięcia zdyscyplinowanego spontanzimu, wyzwolenie aktora ze wszystkich krepujących go więzów konwencjonalnych i uczynienie z jego ciała — jak mówi Grotowski — wielkiego rezonatora, wreszcie wprowadzanie siebie w trans, który powinien udzielić się widzowi.

Cóż, kiedy się nie udziela. Byłam na kilku pokazach „zdarzenia”. Jako krytyk, jestem zepsutym widzem, właśnie tym „podglądaczem”, którego tak nie lubił Artaud. Otóż obserwowalam nie tylko fazy frenezji aktorów, lecz i recepcję 40 siedzących na snopkach widzów, których mieścił salka „Reduty”. Oni też byli tylko „podglądaczami”. A przeciw trans aktorów był autentyczny, zwłaszcza Zbigniewa Górskiego i Urszuli Rydzewskiej. Postawa Ireny Mireckiej, adeptki Wrocławskiego Instytutu Aktora, wydawała się mniej frenetyczna, choć to ona była głównym obiektem pożądanego zapłodnienia. Może stanowiło o tym większe doświadczenie w zdyscyplinowanym spontanzimie. Imponujące było skupienie Mireckiej. Cynkutis nie grał, tylko czułwał niewidzialnie nad pokazem, a chciałoby się i jego zobaczyć.

Mówiono, że każdorazowo „zdarzenie” się odmienna w zależności od nastroju aktorów i widowni. Wydaje mi się, iż improwizacja sprawdziła się raczej do drobnych zmian ruchowych, jakichś nieznacznych symboli w działaniach. Przy zasadniczym prymitywizmie programowo nieestetycznych działań pewne symbole były jednak nieczytelne. Lecz trudno czynić z tego zarzut, skoro zasada (bodaj Artauda) brzmi: *Jasne idee są w teatrze, jak wszędzie, ideami martwymi i skończonymi*.

Koncepcja „scenograficzna” zdarzenia (jeśli można tu użyć takiego przymiotnika) nie jest pozbawiona wdzięku. Te wszystkie snopki, nasiona, piosenka z zabawy dziecięcej „Malo nas, malo nas do pieczenia chleba”, ta ruralna symbolika w zastosowaniu do przemóżnej potrzeby zapładniania jest niejako elementem oczyszczającym, wyzwalającym z przyziemności aktu dla samego aktu.

W scenariuszu „Jałowej” przeważają teksty wyjęte z Biblii. Zaryzykuję twierdzenie (może „nie obrażę” nim wykonawców), że są to myśli moralne. Z „Yermy” jest tylko jeden króciutki fragmentek, a jednak rozważniejszy sprawę głębiej, można przyjąć do wniosku, że „zdarzenie”, rezygnując z tekstu Lorki, wyraża wszakże na swój sposób jego pasję. Tylko rzecz dziwna: kończy się to przedsięwzięcie w przeciwieństwie do praźródła — optymistycznie. Ale po jakiej mecie! Nie na darmo nakazywał aktorom Artaud: *abyśmy byli jak żywcem paleni męczennicy, co dają jeszcze znaki ze swych stosów*.

Myślę, że „Jałowa” była bardzo potrzebna „Reducie 70”, która eksperymentem stoi.

Kamena str. 7

NAUCZYCIELU - NA STUDIA

Dokończenie ze str. 3

Wszystko to będzie wymagało wielomilionowych nakładów, w skali krajowej te miliony będzie można zapewne liczyć na setki. Płatne urlopy i inne świadczenia, podręczniki, pomoce naukowe, audycje radiowe i telewizyjne, bezpośrednio i pośrednio koszty wykładów i ćwiczeń... Ale nie tylko o to chodzi. W szkołach podstawowych i średnich będą kłopoty z zastępstwami oraz takim ułożeniem zajęć, aby nie przeszkadzać doświadczonej się nauczycielom. Jednak znacznie większe obowiązki spadają na uniwersytet.

Przed wszystkim chodzi tu o kadry naukowe. Już w tej chwili wielu pracowników nauki na zajęciach dydaktycznych musi poświęcać więcej czasu, niż to przewiduje tzw. pensum. Dalsze obciążenia musiałyby prowadzić do osłabienia tempa i obniżenia jakości badań naukowych, na co nikt zgodzić się nie może. Z drugiej jednak strony, jak potwierdziła to dyskusja na posiedzeniu Senatu i tutaj tkwią pewne rezerwy w postaci niepotrzebnych wykładów, będących powtórzeniem czy streszczeniem podręczników lub skryptów czy nie dość intensywnie prowadzonych ćwiczeń, w ustalonych przed laty i do dziś pielęgnowanych schematach. Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki liczy się jednak z koniecznością zarówno zaangażowania dodatkowych pomocniczych pracowników nauki, a więc osób posiadających już tytuły magisterskie w określonych specjalnościach, jak również przyspieszeniem zdobywania stopni doktorskich i habilitacji przez usuwanie różnych przeszkód natury formalnej oraz przełamywanie niechęci, czasem nawet wręcz obawy przed młodszą konkurencją ze strony niektórych samodzielnych pracowników nauki. Szybkie zasilenie kadr ludźmi o odpowiednich kwalifikacjach naukowych, społeczno-politycznych i etycznych jest pilnym i trudnym zadaniem dla UMCS.

Drugim poważnym problemem to sprawa lokali. Przekazanie pewnych pomieszczeń przez Kuratorium tylko częściowo rozwiąże ten problem, na wyniki dodatkowych inwestycji trzeba jeszcze poczekać. Senat UMCS przy niewątpliwym poparciu władz wojewódzkich i miejskich będzie tu musiał rozwiązać niezwykle trudną łamigłówkę, tym trudniejszą, że z podobnymi — chociaż w mniejszej skali — potrzebami wystąpi zapewne i Akademia Rolnicza i Wyższa Szkoła Inżynierska, które w zakresie swoich specjalności też będą dokształcały pewną liczbę nauczycieli.

Najwięcej pytań na posiedzeniu Senatu, czasem nawet zaprawionych niepokojem, dotyczyło pozostawienia tych szesnastu studiów magisterskich. O ile odpowiedziano sobie pozytywnie na wątpliwości, czy rzeczywiście każdy nauczyciel szkoły podstawowej i średniej powinien w przyszłości posiadać tytuł magistra, o tyle dosyć szybko przeprowadzona reforma studiów nauczycielskich jak i duża liczba tych, którzy muszą się dokształcać, budziły pewien niepokój. Czy nie obniży się poziom, czy tytuł magistra nie będzie zbyt łatwo dostępny?

Dyskusja wyjaśniła, że nikt nie chce i nie powinien stosować taryfy ulgowej. Stwierdził to wyraźnie przedstawiciel MNSzWIT jak i kurator. Rzecz bowiem polega nie na zdobyciu papierka z tytułem, ale na rzetelnie zdobytej wiedzy, która musi procentować w szkołach. Poziom zależy zaś przede wszystkim od samych naukowców. Zarówno od

stawianych przez nich wymagań jak i umiejętności przekazywania wiedzy. A fakt, że studiować będą ludzie dorośli, zdający sobie sprawę, iż chodzi o ich całą przyszłość, może chyba napawać optymizmem. Niewątpliwie będą i tacy, którzy odpadną. Ale takie już jest prawo życia.

W marcu UMCS, podobnie jak inne uczelnie, przesłał do Ministerstwa NSzWIT swój projekt programu studiów wraz z wyliczeniem potrzebnych na jego realizację środków. Po analizie tych projektów Ministerstwo opracuje ostateczny program oraz przyzna niezbędne środki. Podjęto już także kroki, aby dostarczyć na czas konieczne podręczniki i pomoce naukowe, chociaż w pierwszych tygodniach tu i ówdzie mogą wystąpić pewne braki.

Marginesowo można jeszcze dodać, że w roku akademickim 1974/75 nastąpi ogólna reforma studiów magisterskich na kierunkach nie nauczycielskich na uniwersytetach, wyrażająca się m. in. w skróceniu tych studiów z 5 do 4 lat oraz — najprawdopodobniej — w likwidacji trzyletnich zawodowych studiów administracyjnych na rzecz czteroletnich studiów prawniczych. Tygodniowe obciążenie studenta zajęciami nie będzie mogło przekraczać 30 godzin, a w ciągu całych studiów 2500—3000 godzin na kierunkach humanistycznych i 3000—3500 godzin na kierunkach matematyczno-przyrodniczych i technicznych. Kształcenie nauczycieli będzie odbywało się wyłącznie na czteroletnich studiach magisterskich stacjonarnych w wyższych uczelniach lub wyższych szkołach pedagogicznych, działających na prawach wydziałów lub filii uniwersytetów.

Tak więc Rok Nauki Polskiej przynosi wielkie zmiany w kształceniu naszego społeczeństwa. Wszyscy mamy nadzieję, że w ten sposób będzie nam łatwiej zbudować drugą Polskę w umysłach, charakterach i zaangażowaniu dorastających pokoleń. Bo jaka będzie szkoła i uczelnia, takie będzie społeczeństwo.

Jerzy Dostatni

TRUDNO przeżyć obojętnie obok indywidualności tak oryginalnej i ciekawej jaka był Eugeniusz Sokółowski. Zabył jak meteor na Ziemi Lubelskiej w latach 1900—1912 i zapisał się chwalebnie na kartach historii kultury. Kim był? Prawnik z zawodu i wykształcenia, z zamiłowaniem wielbiciel rzeczy pięknych, mecenas sztuk i kolekcjoner, również publicysta, działacz społeczny, świetny popularyzator nauk, erudyta o umyśle nieco chaotycznym, ale błyskotliwym, człowiek wrażliwy na nędzę społeczną, walczący piśmem i słowem o idee wolności, równości i braterstwa, duch niespokojny i pełen fantazji.

Wojciech Giełżyński, znany publicysta, nazwał go „Don Kichotem”, bo i wygląd i bojowa postawa życiowa dziwnie przypominały rycerza z La Manzy. Był szlachcikiem „starej daty”, wzrostu wysokiego, chudy, z długimi włosami i lysiejącą czupką, o donośnym głosie, zdradzającym, że nie dosłyszy.

Miał już około 50 lat, kiedy zakupił w 1896 r. niewielki folwark w Sieprawkach koło Garbowa i zamieszkał tutaj z żoną Michałką z Wołyńskich i wychowanica. Mały parterowy dworek stał się wkrótce bogatym prywatnym muzeum, znanym w okolicy i Lublinie. Sokółowski był namalnym zbieraczem nie tylko dzieł sztuki z dziedziny malarstwa, ale i innych przedmiotów artystycznej wartości — broni, klejnotów, ozdób, sprzętów, dywanów, gobelinów, rzeźb, porcelany, zbiorów numizmatycznych itp. Zbiory te musiały przedstawiać niemałą wartość, skoro trafiły do rejestru „Zbiorów Polskich” Edwarda Chwałewika.

Zainteresowania Sokółowskiego dziełami sztuki datowały się jeszcze z lat młodzieńczych. Gdy był studentem prawa w Warszawie, mieszkał na stacji w fałacie przy ul. Bednarskiej z drzeworytnikiem Piotrem Dziedicem. Stacja ta była punktem zbornym ówczesnej studencko-artystycznej cyganerii jak pisał sam Sokółowski, gdzie rej wodzili późniejsi znani i cenieni malarze — Antoni Piotrowski i Józef Chelmoński. Nie też dziwnego, że i później lubił przebywać w kręgu dzieł sztuki i świata artystycznego. Wszystkie pokoje dworku w Sieprawkach zatłoczone były ekspozycjami, pieczołowicie w określonym porządku ułożonymi.

Don Kichot spod Garbowa

Maria Gawarecka

Większość obrazów pochodziła ze szkół starych mistrzów jak Domenichino, Salvatoro Rosa, Polidoro Carravaggio, Morales i inni. Niektóre płótna były wysokiej wartości. Na uwagę zasługiwało jedno z pięciu, posiadanych w Polsce, arcydzieł Van Dycka — obraz „Ecce Homo” (wielkość 1 x 1,20 m). Należał on, jak pisał znany historyk sztuki Jerzy Mycielski, do licznego cyklu scen z Męki Pańskiej i był perłą w zbiorach Sokółowskiego.

Z obrazów malarzy polskich znalazły się tu dzieła: Chelmońskiego, Masłowskiego, Kamińskiego, Michałowskiego, Kossaka, Grottgera, Matejki (pierwsza olejna kompozycja „Kazania S'cargi”, odmiana) oraz jeden z najwspanialszych obrazów Aleksandra Orłowskiego z 1794 r. o dużej wartości.

Na posiedzeniu komisji do badania historii sztuki w Krakowie (w 1908 r.) prof. Jerzy Mycielski w referacie pt.: „Pierwszy romans i pierwszy obraz Aleksandra Orłowskiego z 1794 r.” podał, że oryginał został przez niego odnaleziony w zbiorach Eugeniusza Sokółowskiego w Sieprawkach pod

Lublinem i dzięki uprzejmości właściciela może go obecnie pokazać. Dzieło powstało w latach 1793—1794, w 1794 r. Al. Orłowski, mający wówczas lat 17, niebierze udział w powstaniu kościuszkowskim. Banny pod Zagraniem, wstąpił do Warszawy, ale po drodze zatrzymał się w Karczmie, gdzie spędził kilka dni z piękną szynkarą. Tutaj to odnajduje swego wychowawcę ówczesny jego nauczyciel Norblin i architekt Lebrun. Moment ten uwiecznił Orłowski, znakomicie później malując rysownik o bujnym temperamentem, w zamyśleniu tutaj obrazku pt. „W Karczmie”.

Z myślą o upamiętnieniu dzieła sztuki, Sokółowski muzeum swoje otwiera w niedziele i święta dla zwiedzających, sam udzielając objaśnień i stosując informacjami.

Zjeżdżają tutaj wycieczki z Lublina, Nałęczowa, Puław i innych stron Polski (Kraków, Poznań, Łódź). Organizuje je Polskie Tow. Krajoznawcze Oddział Lubelski, Tow. Cyklistów, Tow. „Harmonia”, Stow. Rzemieślników, redakcja „Kurierów” itd. Doktor Biernacki pisze w „Kurierze” z 1911 r. o znaczeniu dla Lublina tego ośrodka sztuki, zwanego „u nas na prowincji”, gdzie brak wszelkich instytucji kultury. Przypomina, że Sokółowski jest najstarszym współpracownikiem „Kuriera”. Nazywa go „wiecznym optymistą”, którego dar popularyzatorski jest niezwykły. A widząc Sokółowskiego jak oprowadza robotników z Lublina po swojej wystawie, pisze: czuliśmy, że otwierają się dla tych ludzi nowe światy wrażeń.

Zbiory z Sieprawek wędrują również na wystawy do Lublina, a nawet do Warszawy (w 1910 r. obraz Van Dycka wystawiony był w Zachęcie).

W czerwcu 1907 r. zostaje otwarta w Lublinie wystawa zbiorów Sokółowskiego, z której dochód przeznaczono na kolonie letnie dla młodzieży. Wystawa, jak pisało, stała się dużą atrakcją dla Lublina w czasie, kiedy miasto nie miało własnego życia artystycznego. Trwała ona dwa tygodnie i dała znaczne dochody.

Zainteresowania Sokółowskiego dziełami sztuki i jego zbiory znane były w kręgach warszawskich, toteż z chwilą powołania do życia Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości ofiarowano Eugeniuszowi Sokółowskiemu godność członka korespondenta i delegata Towarzystwa. W składzie zarządu Towarzystwa znalazły się takie osoby jak: Adam Krasinski (prezes), Zygmunt Gloger (wiceprezes), Erazm Majewski, Tadeusz Korzon, Aleksander Kraushar i inni.

Wszelchstronne zainteresowania Sokółowskiego i jego przekonania postępowe uczyniły zeń bojowego działacza i publicystę. W latach 1911/12 był aktywnym członkiem „Światła” i z-czą przewodniczącym Zarządu Głównego, dr Al. Stanisławskiego. W tych samych latach był przewodniczącym Towarzystwa Czytelnicy Społecznej w Lublinie. W jego domu w Sieprawkach otworzono też bibliotekę Tow. „Światło”.

Czynnie współpracował z „Kurierem Lubelskim”, walczył o jego istnienie i popularność, w latach 1907—1910 był kolumnistą literackim i autorem szeregu artykułów i felietonów. Ukazało się ich ponad 200; miały często charakter polemiczny, pisane były na gorąco w powiązaniu z aktualnymi wydarzeniami. Artykuły podpisywał często tylko inicjałami lub „Ktoś ze wał”. Styl miał dość zawile, wiele było retorycznych pytań, wykrzykników, niedomówień, dygresji, czuło się jednak erudycję autora i encyklopedyczną umysłowość. Sokółowski niewyczerpany był w wychwytywaniu tematów. Rozpiętość treści była niebywała. Od historii, spraw społecznych, obywateli, kultury, wychowania, obyczajów aż do programu agrarnego, spirytualizmu, budownictwa społecznego, zdrowia itp. Pisał o Dumle, o wiedzy i jej potęgę, równouprawieniu kobiet, Grotterze, Koperniku, niedorozwiniętych dzieciach, znaczeniu cukru itd. Tematami najbliższymi były mu — Napoleon, legioniści, Fryderyk II, sprawy niewolnictwa i pracy, walka z klerykalizmem i ciemnotą. Szczególnie bliska była mu postać Aleksandra Świętochowskiego, którego jubileusz proponował uczcić wydaniem encyklopedii ludowej jego imienia z 8000 wyrazów.

Pisywał również recenzje w związku z takimi nowościami wydawniczymi, jak „Legenda Młodej Polski” Brzozowskiego, „Na srebrnym globie” Żulawskiego, „Logika medycyny czyli krytyka poznania lekarskiego” dr Biegańskiego i inne.

W jednym z felietonów, co jest charakterystyczne dla jego poglądów, pisze, że gdyby mu na bezładną wyspę pozwolono zabrać tylko jedną książkę, byłaby to „Autobiografia Karola Darwina”, wydana przez syna — Franciszka Darwina.

W swoich licznych odczytach poruszał najczęściej sprawy postępu i pracy oraz dzieje wielkich wolnościowców. Miewał je rzadziej w Lublinie, a przede wszystkim w kręgach „Światła”, w takich miejscowościach jak Lubartów, Chełm, Zamość, Krasnostaw, Puławy, Nałęczów, Kurów, Końskowola, Izbica oraz inne. Miewał również odczyty poza granicami guberni lubelskiej — w Łodzi, Radomiu, Zawierciu, Skierniewicach, Suwałkach, Skarżysku, Plocku, Łowiczu i Warszawie. Wszędzie milie witalny burliwym oklaskami, miał również entuzjastyczne recenzje. Frekwencja na odczytach dochodziła często do 300 osób, niektóre z sal terenowych nie mogły pomieścić chętnych słuchania i zobaczenia owego „zwariowanego szlachcica”, jak go w niektórych środowiskach Lublina nazywano. Wojciech Giełżyński pisał, że trudne jest zadanie krytyka wobec wszystkiego, co pisze i mówi Sokółowski. Ma on zupełnie indywidualny styl i sposób ujęcia przedmiotu. Szczególnie raziła Giełżyńskiego przewlekłość prelekcji i chaotyczność, która często spowodowana była ogromną ilością dygresji. Sokółowski „syłał” cytami, aforyzmi, anegdotkami z życia sławnych ludzi, urozmaiconymi opisaniami wydarzeń historycznych. Był świetnym gawędziarzem. Ciągnęły się owe odczyty nieraz i ponad trzy godziny. Słuchano ich jednak z niesłabnącym zainteresowaniem. Decydował o tym nie tylko młodzieńczy entuzjazm, ale i niewątpliwie talent prelegenta w nawiązywaniu kontaktów, pobudzaniu słuchaczy do myślenia, przełamywaniu obojętności, jaka cechowała społeczeństwo, szczególnie w latach po 1908 roku.

Znany był również Eugeniusz Sokółowski w ośrodkach polonijnych za granicą (Belgia, Francja), gdzie wygłaszał swoje płomienne odczyty i gdzie przebywał na czasowej kuracji, w związku z nie najlepszym stanem zdrowia w latach 1909—1911.

Zawsze ruchliwy i interesujący się wielu sprawami, nie ominął pierwszego organizacyjnego zebrań w 1908 roku w Warszawie tworzącego się Tow. Wolnościowców Polskich, gdzie został wybrany na członka Zarządu Głównego. Był też od dawna czynnym członkiem Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, Tow. Kultury Polskiej w Radzynie, wdzięczny mu za pomoc w jego rozwoju i działalności, wybrało go swoim członkiem honorowym.

Wrażliwy na ludzkie potrzeby, starał się ofiarować swej zarobki z odczytów, artykułów itp. na cele społeczne. Dochód z napisanej (pod wpływem odczytu jednego z lekarzy z Charkowa) przez siebie broszury pt. „Mór dzieci” przeznaczył na szpitali dziecięcy w Lublinie. Podobnie było z broszurami — „Proletańska choroba” i „List znalezione”.

Z nieznanymi bliżej przyczynami ten człowiek o niespokojnym umyśle, pełen zawsze planów i pomysłów, sprzedaje w 1912 r. folwark Sieprawki i przenosi się, jak wieść głosi, do Łodzi czy też pod Warszawę. Nadal związany z redakcją pracy łódzkiej, od czasu do czasu służy jeszcze artykułami i prasie lubelskiej. Co się stało ze zbiorami Sokółowskiego? Czy zostały one muzealne zbiory lubelskie? Raczej nie. Trudno również ustalić, tym bardziej po ostatniej wojnie, czy znalazły się w zbiorach innych muzeów polskich. Wiadomo tylko, że w związku z projektem nowego wydawnictwa, Sokółowski w końcu 1912 r. przekazuje Tow. Bibliotekę im. H. Łopacińskiego olejny portret, niewiadomego pedzla, Michałowskiego w wieku młodzieńczym, o dużej wartości artystycznej. Obraz ten, niestety, zaginął. Wiadomo również, że Sokółowski już wcześniej sprzedawał swoje obrazy na cele społeczne. Na przykład „Czarne morze pod Nowostopolem” nabył za 100 zł dr. Świrski, pieniądze przeznaczone na rzecz niezamożnej młodzieży kształcącej się za granicą. Obraz „Wesialka” w drodze licytacji kupił za sumę 100 zł jeden z Vetierów, pieniądze przekazano Czytelnicy Społecznej itd.

Można zakończyć słowami samego Sokółowskiego, tak dla niego charakterystycznymi, po jednym z odczytów w Zawierciu, gdzie zgotowano mu niebywała owacje, że to ja powitaniem Wam dziękować i być wdzięczny za to, że opuszczając tę salę stałem się rozumiejszy i lepszy, niż wtedy, kiedy tutaj wchodziłem.



Aleksander Orłowski „W Karczmie” — 1794 r.

Obraz dawniej w zbiorach Eugeniusza Sokółowskiego

Pożegnanie

Adam Fiala

TEN pogrzeb pamiętam do dziś. A właściwie dwa pogrzeby. Tak bowiem się zbiegło, że chowano jednocześnie Sędzięgo i Skrzypka. Nasz cmentarz ma tylko jedną bramę i obie trumny jednocześnie nie mogły się w niej pomieścić. Każda trumna miała swoich zwolenników, ludzi, którzy ją pieczołowicie nieśli na barkach, ukradkiem gładząc wypolerowane okucia i przyjemnie w dotyk drewno. Na czarnych blaszanych tabliczkach wypisano dane personalne, które i tak wszyscy znali. Grauman uśmiechnięty nadszedł kocim krokiem i szturechnął mnie w bok: „Wiesz, stary, oni mogli po prostu popłacić tabliczkę. A czy jesteś pewien, że nie pozamieniano trumien? One są takie podobne”.

Przed bramą ustawili się dwie grupki ludzi czarno odzianych, z odsłoniętymi głowami. Jedyne Grauman był ubrany kolorowo, na nogach miał mięciutkie zamśzowe botki z niebiesko-czerwonymi frędzelkami. „Oni myślą, że ja go lekceważę, a dla mnie kolorowy strój to pokuta. Nie lubię kolorów. Świat odyskuje swoją właściwą barwę wtedy tylko, gdy jest szary”. A świeciło żółte listopadowe słońce, niby przyćmiona lampa, która nie grzeje.

Zarówno Skrzypek jak i Sędzia pomarli w porę, tuż przed Wszystkimi Świętymi i teraz oczekiwali w horyzontalnych pozycjach przed porzewaną bramą, ozdobioną cytatem z Ewangelii. Księża i grabarze wyraźnie się niecierpliwi. Trwał spór kompetencyjny, czyja trumna ma pierwsza przejść przez bramę. W końcu zdecydowano, że Sędzięgo, bo Sędzia miał dłuższą klepsydrę od Skrzypka i bardziej zapisaną. Ale Skrzypek miał bogatsze życie. Sędzia piał się w górę równiutko i systematycznie. Skończył z wyróżnieniem szkołę podstawową, gimnazjum ogólnokształcące, w międzyczasie był aktywnym działaczem ZMP, następnie uniwersytet, aplikację i został asesorem i w konsekwencji sędzią powiatowym w wieku lat 31, co było powodem do szczególnej dumy, jako że jest to zawód kojarzący się nam ze starymi zasuszonymi prykami. Sądził zupełnie niezłe, ale traf chciał, że wpadł do rzeki i utonął w niewyjaśnionych bliżej okolicznościach. Długo go poszukiwano i gdyby nie robotnik, który zauważył wystającą za mostem rękę, nigdy by go prawdopodobnie nie odnaleziono i nie wylowiono. Zostawił po sobie piękną bibliotekę, narty oraz sprzęt do nurkowania, co oczywiście nie było uwidocznione w tekście klepsydry, w przeciwnym razie wzięto by ją bowiem za ofertę.

A Skrzypek, młodszy o dziesięć lat, miał ciekawsze życie dlatego, że między innymi pracował w szpitalu i wynosił trupy. Obraz nieszczęścia ludzkiego tak widocznie się zaszczepił w jego wrażliwej duszy, że pewnego październikowego wieczoru nalykał się rozmaitych trucizn, tak zmyślnie przyrzadzonych, iż tym coctallem, jak zapewniano, można było otruć połowę mieszkańców średniej wielkości miasta. Cztery dni i noce leżał nieprzytomny pod tlenem, już właściwie martwy, z wyciągniętą twarzą i oczami w slup.

Wpadłem wtedy zupełnie przypadkowo do szpitala i zobaczyłem go. Zaciągnął mnie Grauman. Przekroczyliśmy bramę i nie zaczepiani przez nikogo dotarliśmy aż

do sali operacyjnej. Za zamkniętymi drzwiami leżał podobno Skrzypek. Grauman zapalił fajkę, zaciągnął się amforą, uśmiechnął się ironicznie i uchylił drzwi. Wdarliśmy się na salę ku przerażeniu a następnie oburzeniu zgromadzonych tam ludzi w maskach i białych fartuchach. Przez moment zastępyli oni jak skamieniały. I wtedy zobaczyłem po raz ostatni Skrzypka. Ze zdenerwowania zaczęła mnie swędzić moja czarna dłoń, choć wiedziałem, że to absurd. Scigano nas po całym szpitalu, ale jakoś zdołaliśmy się wydostać.

Tak więc Sędzia wjechał pierwszy a tuż za nim Skrzypek. Pomieszali się szeregi i nikt już właściwie nie był pewny, do której trumny przynależą. Na wszelki wypadek wszyscy opuszczali głowy i drepali wolniutkim kroczkiem. Nie lubię pogrzebów. Wydają mi się sztuczne. Ale lubię cmentarze. Po tych kamiennych ogrodach, pełnych kolorowych kwiatów wiosną i żółtych liści jesienią, waleśnią się rozbudzone w sobie erotycznie pary, na ławkach wkuwają ze swoich skryptów studenci, a w noce grobomani odprawiają swe misteria przy zapalonych świecach, pewni i bezpieczni, że nikt nie zakłóci ich spokoju. Wpatrzni w bezruchu w trzymane przed sobą świece przypominają umarłych. Na szczęście przyszedł groby Sędzięgo i Skrzypka sąsiadowały ze sobą i dlatego wszyscy zainteresowani z własnej woli, oraz dwaj dostojni, czcigodnie ułożeni obywatele, być może wbrew własnej woli, udali się na jedno miejsce, niedaleko muru, za którym huczały jakieś urządzenia laboratorium biologicznego.

Zaciekawiony przystanąłem nad grobami. Jakże solidna robota, głębokie, pięknie podmurowane! Dwie betonowe kłateczki z przykrywkami. Księża zaczęli odprawiać modły, choć Sędzia z przekonania, a Skrzypek z przekory byli za życia ateistami. Gdy już spuszczone trumny, nadjechał swoim wózkiem Filozof. Widocznie uważał, że nie wypada warczeć na cmentarzu i to w trakcie pogrzebu, bo wylączył motor a wózek popychała babka. Filozof zobaczył mnie i uśmiechnął się. On lubił pogrzeby.

„Wiesz — zwierzył mi się pewnego razu — chciałbym, żeby mi zamiast nagrobka przymocowano mój wózek. Może dałoby się to zrobić”. Grauman spojrzął na Filozofa, a potem mnie szturechnął: „Skrzypka wpuścili odwrotnie”. Rzeczywiście, tam, gdzie miały być nogi, spoczęła głowa. I po nakryciu płytą okazało się, że czarna tabliczka będzie leżeć na nogach. Ale czy to ma jakikolwiek znaczenie wobec wieczności? Najważniejsze, by idea była właściwa oraz intencja szczerą!

Paskudne to listopadowe słońce. Jego promienie stapiają się ze świecami. Dwa życiorysy w pewnym momencie się przerwały i odtąd po cementowych płytach będą spacerowały w upalne dni muchy, a po zerwanych klepsydrach pozostaną na murach bliźny. Wszyscy się ucieszyli, że to tak się szybko zakończyło. Grabarze przeczuwali jakąś fuchę, oni też gdzieś dorabiają na boku. Gdy poznikały te czarne krzyże można było swobodnie porozmawiać. Gdyby tak jeszcze sprzedawali kiełbaski na gorąco, albo lody na patyku!

Kiedy prawie wszyscy odeszli, pogłodziłem moją czarną dłoń pokrywą grobu Skrzypka. Ubawiło to Graumana: „Ocze-

kujesz cudu, że ręka ci odrośnie? Święty to on nie był”. Wydawało mi się, ba, byłem prawie pewny, że czuję chropowatość kamienia. Dotykałem ostrożnie, by nie uszkodzić ręki. „Myślisz, stary, że tobie włóżą ją do trumny? — powiedział Grauman. — Taka wartościowa ręka, trudno teraz o dobrą skórę”.

Babka nachyliła się nad Filozofem i coś do niego poszeptala. „Ależ naturalnie” — wspaniałomyślnie się zgodził i wtedy ona odeszła jakby zawatydzona, poprawiając chustkę na głowie. „Oni mi pomoga wydstać się stąd” — wskazał na nas. „Za bramą już będę mógł zapuścić motor” — uśpokoili jeszcze na odchodnym babkę. „Ciekawe, czy zawsze tak będą wyglądały pogrzeby” — zauważył po chwili. „Jak



Rys. E. Ingliot

przewidują futurologi, liczba ludności świata do tego stopnia wzrośnie, że na jednego żywego człowieka będzie przypadać metr kwadratowy powierzchni”. „A co z umarłymi?” „Oni są pod powierzchnią. Szukają ukrytego dna” — zaśmiał się Grauman. „Nie wiem, pewnie będą palić, kto wówczas będzie pamiętał o obozach, piecach i krematoriach” — powiedziałem. „Lubię ogień. Ciepło” — mrużył jak kot oczy Grauman. „Może na piwo, przecież jakaś stypa...” — zaproponował Filozof. „Zmotoryzowany jesteś, a chciałbyś mieć alkohol we krwi” — zaśmiał się Grauman. „Pomóżcie mi stąd wyjechać” — zaczął się niecierpliwie Filozof.

Popechałem wózek wraz z Graumanem. Na szczęście dawno nie padał deszcz i kija nie grzęzły w ziemi. Odprowadziliśmy go trochę za bramę, zapuściliśmy motor i pomachał nam ręką. „Jak myślisz, co on może na taką wózek poderwać?” — zapytał mnie Grauman, kiedy wracaliśmy z cmentarza. „Tacy inwalidzi wózkarze powinni założyć rodzaj automobilklubu, i jeździć razem na majówki. A gdyby tak się zdarzył pomyślny zbieg okoliczności, że wózkarz poznałby odpowiednią, przystojną i z lekka wadą fizyczną wózkarke...”

Nie odpowiadałem Graumanowi, bo myślałem o swoich sprawach. On mnie rozumiał i rozstaliśmy się w milczeniu. Na ruchliwym skrzyżowaniu pomiędzy autobusami, trolejbusami i samochodami osobowymi pojawił się jeździec na koniu. Wyglądał groteskowo, dotykał głowę przewodów, przynajmniej mnie się tak zda-

wało. Widocznie miał gumową dżokę, bo go prąd nie lapał. Samochody wyrzucały ze swoich rur wydechowych niebieskawo dymek, autobusy czarny, grzący dym, a koń puszczał brązowoczerwone bobki i potrząsał głową. Wreszcie ruszył galopem. Pod nogami płątały mu się małe osobowe samochodziki. Milicjant uwędzony dymem patrzył jak urzęczony na końskie bobki. Jeździec się wstydział za konia. Dla dodania sobie animuszu szarpał uźdą.

Długo w domu myślałem o pogrzebie, koniu i tabliczce na grobie Skrzypka. Dlaczego właściwie tabliczka miała stać w jego nogach? Po to tylko, żeby tworzyć z tabliczkami z innych grobów jeden rząd? Wydawało mi się to nierozsądne, zbyt uporządkowane, jak wojskowy cmentarz, widziany z lotu ptaka.

Akurat przyszedł listonosz i przyniósł mi przekaz. „Z pana to szczęśliwiec, siedzimy sobie w domku, nie podpisujemy listy, nikt na nas nie krzyczy, że na ten przykład zawałamy plany i nie wyrabiamy wskaźników, a tu przychodzi przekaz za przekazem, pieniążki syją się jak z rogu obfitości”. Gdy mówił o tym rogu obfitości, spojrział na niego uważnie. Był to bowiem bardzo mądry listonosz i interesował się polityką.

A swoją drogą to już bolają mnie trochę oczy od tej roboty. „Panie plastyk, to panu nic nie przeszkadza?” — wskazał oczami na rękę ze skóry. „Nie, bo widzi pan, to też jest dzieło plastyczne, taka ręka. Byle kto jej nie zrobi”. Wtedy kiwał głową ze zrozumieniem, nie wiadomo dlaczego salutował do okantowanego białą daszką i wychodził, podlegającą skórzaną torbę. Pomyślałem, co właściwie wypisano by na mojej klepsydrze? To jest problem. Gdy jeszcze nie można odpowiednio wypełnić klepsydry, nie warto umierać. Czas przegrany... — machnąłem ręką i zacząłem właściwie sam sobie się dziwić, dlaczego wpadłem w tak ponury nastrój.

Nie mogłem usiedzieć w domu, wyszedłem na ulicę. Było już mroczno, kilka lamp jarzeniowych, jak gdyby nie mogąc się zdecydować, mrugało seledynowo-różowym światłem. Wędrowałem pustymi ulicami, bo akurat odbywał się jakiś ważny mecz piłkarski i zaciemnione okna połyskiwały zielonkawożółtym, księżycowym światłem telewizorów.

Sam nie wiem w jaki sposób zbliżyłem się do cmentarza. Przez chwilę przystanąłem przed budynkiem Rozgłośni Polskiego Radia i Telewizji, dziwnej kombinacji kaloryferów i popękanych pokrywek od garnka. W kilku oknach paliło się światło. W klubie też zapewne oglądają transmisję z meczu... Wszedłem na teren cmentarza, brama była nie zamknięta. Przechodząc zauważyłem, że w domku grabarza też oglądają program telewizyjny. Zupełnie słusznie. Jedyne Sędzia i Skrzypek pozostają tam samotni, pod warstwą ziemi, zimnego betonu i świeżych kwiatów. Czytałem gdzieś, że nasi przodkowie wkładali do grobów umarłym pożywienie, ulubione przedmioty, broń, ozdoby. Gdyby więc tak telewizor? Co za niedorzeczna myśl.

Błądzą w ciemności wśród grobów. Coraz bliżej muru. Idę na wycucie. Wreszcie zauważam światła. To lampki na świeżych grobach. Dalej, za murem cmentarnym świecą się pełnym światłem jarzeniówki. Kamiennie anioły przybierają w półmroku ludzki kształt. Cmentarne tuje wystrzelają w mroczne niebo. Szleszczą liście. Wiem jedno: muszę odsukać te groby. Wreszcie mi się to udaje. Tak, teraz już nie mam żadnej wątpliwości. Tak, to Sędzia i Skrzypek. „Jeden sądził, drugi skrzyptał źle posmarowanym kalafonią smykem” — uśmiecham się sam do siebie. Pochyliam się nad grobem Skrzypka. I moją czarną dłoń ujmuję czarną tabliczkę. Przenoszę ją na właściwe miejsce. Tam, gdzie jest głowa.



Na poezji pieniędzy zrobić nie można, a chyba nawet i nie trzeba. Ale gdy się jest autentycznym poetą, to są w dodatku kłopoty z drukiem i ciężko się dostać do kłanu.

Autentyczny poeta to jest poeta zaangażowany, czyli piszący o rzeczywistości akurat zawsze to, co o niej myśli aktualnie. A jeśli nawet myśli jego nie całkiem jasno, to taka poezja ma dla czytelnika, więc i dla społeczeństwa, właściwość oczyszczającą.

To nieprawda, że dzisiaj ludzie nie czytują poezji. Czytują chętnie, a czytelnicy jest coraz więcej, gdyby szkolna polonistyka nie zabijała ich wrażliwości na słowo poetyckie.

Je może działać poezja? Co najmniej tyle samo, co 100 — 200 lat temu. Przelatuje — autentyczna poezja — zastane struktury językowe i myślowe, buduje nową wyobraźnię człowieka współczesnego. Potrafi nawet ludzkość do działania pobudzić.

Poezja jednak nie może być twórcą jednostki, albowiem jednostka nie jest w stanie ogarnąć poznawczo całej złożoności współczesnego świata. Od dawien dawna poeci poprawiali sobie wiersze. A taki film na przykład jest od początku sztuka zbiorowa. Wiece poetycki akt tworzą także musi być sztuką zbiorową, szczególnie dzisiaj.

Takie oto myśli o poezji nurtują aktualnie grupę poetycką „Samsara”. Podumawamy chwilę nad romantycznością naszej młodzieży, dodam tylko, iż zbiorowe wiersze „Samsary”, niezależnie od przekonań ich autorów, wyrażają jakiś kryzysowy stan świadomości. Ale ponieważ „Samsara” znaczy w sanskrycie przechodzenie jednego stanu w drugi, więc można mieć nadzieję...

Ci czterej panowie na fotografii to nie zespół bitowy, lecz właśnie aktualna pierwsza reprezentacja grupy „Samsara”. Od lewej: Wojciech Pestka, Stanisław Jan Królik, Marek Kusiba i Zbigniew Włodzimierz Franczek. Trzech studentów UMCS i jeden bibliotekarz UMCS. Drugi garnitur, w luźniejszych kontaktach z grupą, to: Tadeusz Kwiatkowski-Cugow, Józef Osmola, Andrzej Pawluczuk i Hyszarz Setnik. Jeden tylko student, reszta pracownicy państwowi. Z założonej w 1989 roku grupy całkowicie odeszły trzy osoby, z których jedna ożeniła się i utyla w szkole (podobno). Wiece jakaś zmienność istnieje. Dotąd swoje manifesty i wiersze „Samsara” drukowała w „Kurierze Lubelskim”, „Konfrontacjach”, „Jedynolówce RO ZSP w Lublinie (1978)”, „Orientacji” i „Kamencie”.

MP

SAMSARA

Poemat o piekle

Wojna piekło
syllisy piekło
biurokracja piekło
80 lat piekło
decybele piekło
walka w wietnamie piekło
imperializm piekło
samospalenie piekło
bajka o czerwonym kapturku piekło
żony piekło
dzieci piekło
kliki piekło
— Przez następne dwa dni padał deszcz ze śniegiem, Judyta komentowała swoją lekturę —
samsara piekło

Dzień stworzenia

stworzenie wyschniętym jeźdźcem popija Kafkę i dalej liczne tłumaczenia świata

a „świat się kończy”
pforocy w kąt weszli
i będzie lato...
a drewniany wieszacz
bawi się brzydka pod pierzyną wierszy
i pluje w ludzi
tajemniczą rzeczą
Stworzenie wchodzi
w powinność kata
kat obliżuje
pierwszą warstwę płodu
(patrz: M. Jastrun:
Dzień stworzenia)

Ukrzyżowanie
nadziei
w skrócie
dla dzieci
szkolnych
ułożone

Pies litościwy z twarzy zlizuje
denek żelaza przeszłej namiętności
Uwiąd coraz mocniej wymazuje fale
i kształty dawne

— już naprawdę dawne —
w ochłodzie legną

Tak — to nasza wina:
Patrz Krzysiu d.: nie ma Rosemarie
i pluje w ludzi
tajemniczą rzeczą

Przez chwilę wydawało się
że nad wypalonym pnem
połatuje jeszcze
zapach świeżych liści

Oracja
parweniusza

Czy można z panią opustoszczyć
Wpaść pod pędzące auto ud,
Wysadzić z hukiem skrzynię biegów —
zielone światło: można ruszać...

Cóż pani taka kłozetowa?
Jakby ci było czegoś żal?
Jakby nie twoje były słowa,
Jakby to była Madame de Stael.

Rozmowa z Marianem Pilotem

Dokończenie ze str. 6

źródła, uświadomiona chęć takiego powrotu, wyrażająca się już w języku. Znamach na literacką polszczyznę. Bardzo ważne zjawisko. Od Pięta poczynając, poprzez Nowaka, Myślińskiego, a na Redlińskim i Trzaskę kończąc. W zapleczu tkwi może rozczarowanie kultura miejska?

— Czy jednak w ten sposób w obrębie współczesnej kultury ogólnonarodowej nie tworzy się jakiś skansen pisarstwa wyprzedzającego z tradycją chłopięcą, gdy tymczasem na wsi takiej chłopkości, za jaką tęsknią wzmiankieni pisarze i z jaką się rozliczają, już dawno nie ma, aczkolwiek istnieją obok tego twórcy ludowi, ale to inna sprawa?

— Tu idzie o odzwierciedlenie stanu naturalnego i żywotnych treści kultury chłopięcej. I to są nadal źródła żywe dla wielu ludzi, źródła dające rozmaite efekty artystyczne, pokłady kultury wchodzące w starcia ważne dla całej kultury ogólnonarodowej, więc jak tutaj mówić o skansenie?

— Kiedyś pan postulował „plebeizację naszej kultury”, ale czy ona się nie dokonuje sama przez się?

— Na wsi nierzadko idzie się na mieszczańskość, pauperyzację duchową, co pociąga za sobą zatrącenie autentycznej kultury chłopięcej, czasami jakiejś obłudnej, atawistycznej realizowanej kultury „pańskiej”. To Przybóś zauważył, że po wojnie ludzie na wsiach zarzucili formę „wy”, a zaczęli się posługiwać formą „pan”. Ludzie przymierzają się do nieswojej skóry, wchodzą w nieautentyczne sytuacje duchowe. Trzeba temu przeciwdziałać i tu może społeczna funkcja nurtu literackiego, o jakim mówimy.

— Jeśli wszak miałoby to być literatura nawołująca do powrotu ku żywotnej chłopkości, namawiająca do czegoś, to zarazem musiałaby to być literatura sielska, sławiąca ową żywotną chłopkość. Tymczasem nie dosyć, że to literatura lamentująca nad chłopkością tracącą, ale jeszcze w dodatku literatura okrucieństwa pełna, jak choćby w pańskim przypadku. I ta chłopkość wcale tak sielsko nie wychodzi, autentyczna chłopkość, wskazująca autentyczne wartości ludziom pauperyzującym się duchowo.

— Uświadommy sobie i drugim, kim się jest przede wszystkim, i nie tracimy siebie, swej prawdziwej skóry. W każdym razie człowiek musi wiedzieć, co traci. Nikt nikogo nie nawraca na chłopkość, trzeba tylko dawać możliwość wyboru. To by mówiła ta literatura. To by przynajmniej chciała mówić moja literatura. Lecz, oczywiście, co się zamierza racjonalnie, nie zawsze wychodzi w praktyce pisarskiej.

— Ma pan rację. Bo to się tak łatwo mówi: nikogo nie udawać, robić swoje i nie oglądać się na innych. Tylko kto może wiedzieć dokładnie, co mu robić trzeba, kto może poznać siebie? A jeśli nawet ktośkolwiek pozna siebie, to jeszcze powstaje problem, czy chciałby być takim, jakim jest w istocie? I druga sprawa, że ja bym się tak nie martwił o „mieszczańską konsumpcję” w obrębie kultury wiejskiej. Ludzie chcą lepiej żyć i więcej mieć, to naturalny odruch. Ciekawe by też było, jacy to pisarze młodzi wychodzą z tej „wsi mieszczańskiej”, co oni powiedzą na naszą literaturę?

— Nie ze wszystkim tu się zgadzam. Fakt w każdym razie, że coś się zmienia. Ot choćby Łoziński w „Chłopackiej wysokości” pisze o tej nowej wsi, parodiując język Nowaka, Stachury i mój po trosze. Więc jakaś pastiszowa przewroćka ze świadomością nowej sytuacji na wsi, jakaś kontestacja przeciwko nam.

— Na koniec dwa słowa o ruchu KKMP, stworzonym dla ułatwienia startu literackiego ludziom ze wsi i miasteczek.

— Był to ruch w pewnym momencie bardzo potrzebny i dał literaturze parę nazwisk znaczących. Był więc to ruch odpowiadający na autentyczne zapotrzebowanie społeczne. Teraz gorzej, istnieje ruch szeroki, ale za dużo w nim weteranów koło czterdziestki, których już trudno podejrzewać o coś liczącego się w sensie literackim. Taki „młody pisarz” może koniunkturalnie „wysiedzieć” jakąś wtyrynkę, arkusz czy tomik, czyli zdobyć fałszywą przepustkę do literatury. Ale nie o to przecież idzie. I w tym sensie obawiam się, że KKMP staje się ruchem popierającym wartości nieautentyczne. Trzeba by tu jakichś cięć organizacyjnych. I trzeba by ludzi, którzy się nie sprawdzili, umieli zrezygnować ze skóry pisarza...

— Więc pisarz powinien racjonalizować sens własnej roboty, czy też wystarcza mu po prostu jedynie pisać, a reszta zależy od polityków kulturalnych, krytyków profesjonalnych i wydawców?

— Nie wiem, czy pisarz powinien racjonalizować i tak dalek. Wiem, że mnie się to czasami zdarza. W każdym razie nie uciekam od tego, gdy mnie taka myśl napadnie. Tylko że na ogół nie piszę się literatury pod strzechy jakichkolwiek racjonalnych przeświadczeń o celu pisarskiej roboty, nawet własnych. Sprawa nie taka znowu nadzwyczajna, ale rozmawiać o niej można.

Rozmawiał: Maciej Podgórski

TO absurd, ale na festiwalu jazzowym najmniejszą rolę grał jazz. Była natomiast tzw. muzyka „na styku”, czyli popularne szarpanie dźwięków w elektrycznych gitarach i wydźwięwanie na fletach, skrzypkach i strunach fortepianu. Po raz dziesiąty już zjechała na „Jazz nad Odrą” do Wrocławia czwórka jazzmanów-amatorów, którzy podzielili się na dwie grupy: tych, którzy w jazzie siedzą od lat i tych, którzy grając w swoim klubie „Mammy Blue” przestawili się przed festiwalem na muzykę ambitną.

Kiedy na estradę weszła „Grupa w składzie” z Krakowa nikt nie miał wątpliwości. Na fragmentach instrumentów zaczęło się rzepolecie, popiskiwanie, załodzenie i cisza, która też ponoć jest muzyką. Po dziesięciu minutach salę opuściło jury, a za nim większa część widzów. Na konferencji prasowej wieloletni podglądacz festiwalu zaproponował „Grupę w składzie” jako kandydata do nagrody dziennikarzy. Projekt nie przeszedł... ufff! Wysła natomiast propozycję, aby z dziennikarzy, którzy nie potrafili grać, utworzyć zespół jazzowy i przysłać na następny „Jazz nad Odrą”. Efekt byłby zapewne identyczny, a może i nagroda

JAZZ NAD RZEKĄ

jakowaś by się znalazła. Opowiadano mi w kuluarach, jak przed kilku laty grupka dwojga muzyków po godzinnej próbie wystąpiła na konkursie i... zagarnęła pierwsze miejsce. Kiedy zorientowano się o co tu chodzi — było już za późno.

Na tegorocznym festiwalu był natomiast w konkursie zaledwie jeden zespół tradycyjny — swobodna gra, dobra muzyka i orzaskane, mile sercu standardy. Na koncercie zespołu „726 Saint Peter Street Jazz Band” publiczność jakby ożyła i pojawił się znany mecenas z Warszawy, który po każdym utworze wykrzykiwał gromko „bomba”. Z Warszawskiej Jesieni znowu wróciliśmy do Nowego Orleanu — kolebki jazzu.

I tak przez dwa dni męczyło się towarzystwo, znęcało nad instrumentami po to, by mieć wstęp do „Palacyku”, gdzie odbywać się miały nocne jam sessions, a nie było prawie nic. Natomiast koniki sprzedawali po 50 zł biletów przed klubem — skąd je wzięli, nie wiadomo. Fakt ten tłumaczył zaś ustalenie ceny karty akredytacyjnej dla dziennikarza na 300 zł, gdy bilety na wszystkie imprezy (bez „Palacyku”) kosztowały 200 zł, a dziennikarzy do klubu wpuszczano. Ta dziwna sytuacja powtarza się od lat. Rozumiem, że redakcja może zafundować swemu pracownikowi hotel, wyżywienie i przejazd, ale komu przede wszystkim zależy na reklamie: organizatorom czy prasie? Znalazło się natychmiast wytłumaczenie:

— Panowie, kolega robił zdjęcia na olimpiadzie i za każde wystąpienie do kraju musiał płacić organizatorom 2 dolary.

W sali konferencyjnej zapadła cisza — konsternacja niemal. Przerwał ją „bardzo znany fotoreporter” wręczając swemu koledze prywatną nagrodę „złotego cyca”, czyli białą koszulkę z fotografią damskiego biustu, na co „bardzo znany krytyk” zareagował okrzykiem: „To ty też ją znasz?” A koniki w tym czasie sprzedawali bilety na kolejną imprezę. A na tej kolejnej imprezie usłyszymy znowu trzaski i łomoty, free i modern do jednego worka wrzucone, wymieszane i wypłute. Grupa big-beatowa grała bluesa, a powinna grać „Sza! dziecucha...”. Dostąpiła była publiczność — obdarzyła zespół gwiazdami i zmusiła do

skrócenia koncertu. W biuletynie prasowym organizatorzy umieścili hasło wieczoru: „Najpierw trzeba do-re-mi-fa, a potem soul”. Przynajmniej się ono wzięło zespołom i muzykom występującym na „JnO”.

No cóż, ale grali przy asyście stada fotoreporterów, którzy z boku, przodu, tyłu czaili się jak myśliwi na dzika. Pozycję opuszczoną przez „mistrza” natychmiast zajmował jego młodszy kolega po fachu, bo mistrz wiadomo, wie jak ma się ustawić.

Ze sceny schodził kolejny kwartet, wchodził kwintet, przygotowywało się trio — przemieszczano baterię mikrofonów, a opanowały one całą imprezę. Śnił się po nocach — tym, którzy pamiętają — pierwszy „Jazz nad Odrą” w 1964 r. i jeden tylko skromniutki mikrofonik, za to mnóstwo dobrego, niesfalszowanego jazzu. Bo czy można dziś odpowiedzieć na pytanie — co to jest jazz skoro zawsze były trudności ze zdefiniowaniem tego pojęcia? Przecież identyczną muzykę komponują tzw. poważni kompozytorzy, prezentując ją potem na Warszawskiej Jesieni i różnych „warsztatach”. Czy to właśnie ma świadczyć, że jazz u nas rozwija się nadal, skoro rozwijając curialne formy odchodzi od swojej istoty, staje się towarem niebezpiecznych spekulacji? Niebezpieczeństwo nadchodzi też wtedy, gdy organizatorzy postanawiają przyznać jedną tylko nagrodę główną, nie stosując podziału na kategorie. Zastanawia mnie fakt, jakie kryterium przyjmuje wówczas jury, skoro jego członkowie z zawodu są modernistami albo w starych artykułach preferują jazz tradycyjny czy szablonowy rock-and-roll? Zostanie to, niestety, tajemnicą poliszynela — na obrady nigdy i nigdzie nie wpuszczają się dziennikarzy. Może to i dobrze, bo taki to wysłucha, przytaknie, a potem pójdzie i opluje. Na konferencji, gdzie zbuntowani tym faktem dziennikarze przynajmniej swoją tradycyjną nagrodę, odbyła się cudowna dyskusja:

— Organizator: Cała trudność w tym, że nie mamy pieniędzy na zakupienie nagrody dziennikarzy.

— Prasa: Panowie, to ma być symbol.

— Org.: Wyczerpał się nam fundusz na nagrody.

— Prasa: Nie o to chodzi, kupcie coś za 200 zł, symbolicznie.

— Org.: Wyczerpał się nam fundusz na nagrody.

— Prasa: To najlepiej dać dyplom...

Kiedy wszedłem do pustego „Palacyku”, przy stole spało coś kudłatego, bliżej nieokreślonego. Nocny jam session przeciągnął się do wczesnych godzin rannych. Wieczorem, na kolejnym spotkaniu, załomotały wznaczniki i znowu nie było jazzu, tam, gdzie wstęp mieli tylko muzycy i organizatorzy. Kiedyś narzekałem, że na Lubelskich Spotkaniach Wokalistów Jazzowych nie ma atmosfery, że w klubach nocnych pije się piwo i słucha plotek. Skoro na największym festiwalu polskiego jazzu sytuacja jest podobna, biję się w pierś i przepraszam. Zauważa, że za dwa miesiące Lublin znowu będzie świadkiem muzyki pod piciem zamiast picia pod muzyką.

Wracając do „JnO” — według wszelkiego prawdopodobieństwa za kilka lat powinien on się przekształcić w festiwal pseudoawangardystyczny, gdzie będziemy liczyć ilość gitar basowych (zamiast kontrabasów) i moc potężnych wzmacniaczy. Już teraz zespół z Oświęcimia wystąpił z 200-watowymi „Winstonami”, które tyle miały wspólnego ze znaną firmą, co festiwal z jazzem.

Siedzący obok fachowiec opowiedział mi historię o panu, który wyprodukował w Gdańsku kilka wzmacniaczy, opatrzył je napisem VOX (bodajże najpopularniejsza wytwórnia aparatury). Pech chciał, że znalazł je pracownik tej firmy, chciał wytoczyć facetowi proces, opłacił karę i zatrudnił go w branży. Jak się skończyło — nie wiem. Podrabiane „Winstony” zagrały i pęd powietrza zamuchnął mi sąsiada. Koniec wyżętu był taki, że publiczność skróciła męki zespołowi i sobie.

A publiczność była przednia. Nawet dziesięciotygodniowa widowiska Hali Ludowej reagowała niczym wytrawny wielbiciel jazzu. Opadł w przedbiegach na imprezie towarzyszącej Wojciech Skowroński ze swym słabutkim „Blues and Rock”, niezbyt gościnnie przyjęło Mariannę Wróblewską, stała uczestniczką lubelskich festiwali — wiecznie niezadowolona z werdyktu jury. Nie wynajęła się jedynie ze swego zadania zespoły. Długie włosy i przewieszona przez ramię torba na długim pasku nie wystarczają, aby zdobyć laury gołno Urbanika, Nahornego czy Stańki, a w jazzie — jak się okazuje — łatwo być hochstaplerem, tylko czy wtedy będzie to jazz? Wątpię — ale zaczekam do kolejnego, jedenastego „Jazzu nad rzeką Odrą”.

Jack Grün

Na tej sali się nie pali

CHCAC potrzymać rękę na pulsie intensywnego życia, poszedłem do międzuczelnianego klubu „Arcus”, gdzie miały toczyć się obrady studenckiego Sejmiku Działaczy Kultury. Zjawilem się dwie godziny przed zapowiedzianym terminem, aby zaklimatyzować się w specyficznej atmosferze. Było zimno. Dwaj wazali panowie przybili do ścian swoje rysunki, które miały być ładną kwadrans otwartą. Rysunki były dowcipne, drwiące z konwencji z infantylnych wyobrażeń o tzw. roli artysty w społeczeństwie. Poczulem się głupio: wygolony jak prosie, w zamocowanej marynarcze, spod której bezwstydnie wylaniały się zarysy brzucha, demaskowałem się jako typowy przedstawiciel establishmentu, co to umacnia i utwierdza, nie znajdując zrozumienia dla swawolnych kontestacji. Przyszedł nawet taki tragiczny moment, że pozardziłem w głębi duszy pana Dz., który przeoczywszy czterdziestkę bez sensu paraduje w krótkich spodniach i z pamięci cytuje Caldwella. Na szczęście rysunki otwarto i na stołach pojawiły się własne pieniądze wystawki. Musztardówki zbladły pod studenckimi strzechy, co świadczy o rozwoju dobrych obyczajów: za młode czasach pilniłow wprost z butelek, nie mówiąc o czasach przedwojennych, kiedy to w ogóle nie pijaliśmy.

Sejmik rozpoczął się punktualnie pod hasłem „Na tej sali się nie pali”, co zachęciło wszystkich do wyciągnięcia papierosów. Było nas 44, a nie 20, jak usiłował wzmóc zebrany pewien pan spod ściany, dekorowanej własnym ciałem przez kolegów tworzących odrębną grupę socjologiczną; byli zwareci i gotowi, a reszta była rozproszona.

Spotkanie otworzył przedstawiciel Rady Okręgowej ZSP w Lublinie, przemaszając na wstępie za nieobecność przewodniczącego Komisji Kultury teście Rady, który akurat zachorował.

— Jak o chory — skomentowano z sali. — Miesiące miodowy odbywa. Przedstawiciel słowem poręczył prawdziwość swej informacji, a następnie powiedział, że zdaniem wielu kolegów, z którymi rozmawiał, tylko nieliczna grupa studentów ma warunki do odbioru kultury, formy jej upowszechniania są nieokreślone do końca, co zaś ty-

czy się samej twórczości, to jest ona nieco za nikła, nie obfituje w trwałe wartości...

Patrząc na boki kłamałem szpetnie, jako że kilka godzin wcześniej fryzjer zlikwidował moje piękne loki, wyznacznik, jak się okazało, niezależności ducha i postawy światopoglądowej nacełowanej na wartości wyższego rzędu. Jedyna podlega, że Hoene-Wroński był lysawy i nie nosił zarostu, mimo tego sięgając błękitnych poziomów „meja-nizmu”.

Pierwszy dyskutant nie ceregielił się zbytnio, wyzywając zebranych od pogrobowców studenckiego ruchu kulturalnego, co mnie osobliście rozczarowało, jako że po tak zachęcającym wstępie sadziłem, że wygłosi kilka kwestii na temat pogrobowców imperializmu. Zniechęcenie okazało się chwilowe.

— Środowisko składa się z impotentów. Z okazji dorocznego „Jarmarku” kultury studenckiej wydrukowaliśmy 150 plakatów i 607 z dwudziestu tysięcy studentów ilu tu przyszedł?

Kolejny mówca, także członek grupy socjologicznej, stanowiącej gdzieś dwie trzecie audytorium, podzielił się z zebranymi swym głębokim zaoczekowaniem, które spowodowało wystąpienie przedstawiciela Rady Okręgowej.

Co było dalej? Dyskusja potoczyła się skoczonym rytmem, porządkowanym przez grupę socjologiczną. Stwierdzono, że „Jarmark” jest bardziej imprezą jarmarczniczą, niż kulturalną, bo rządzi nim rozrywka, niemniej jednak klub uczelniany „Kultury” ma program ambitny, choć pośród na masowość, a jego kilkudziesięciosobowa rada zbiera się nawet w niedziele.

— Wzmacniacza nie dostalem — użalił się prawnik — a klub piosenki upadł z powodu braku dobrego mikrofonu. Pieniądzy trzeba, niech ZSP da pieniądze.

— ZSP to taki mecenas, co sam potrzebuje mecenasa — melancholijnie zauważył przedstawiciel Rady, strzymując brawka.

— Czy są na sali przewodniczący komisji kultury rad uczelnianych ZSP? — odezwała się jakaś chytła bestia.

— Jeden był, ale wyszedł — poinformowało prezydium. Dużo było zdrowego, młodego śmiechu, więc członek grupy socjologicznej postanowił nawrócić zebranych pokory, posługując się metodą podziału na „my” i „oni”, nie przerywając jednak, o jakich „onych” chodzi.

— Nas traktują jak szczeniaki...

— Jak hipisów — zawtórował sąsiad w skromnym, czerwonym przydziewku, był może skopio-

wanym z fotografii przedstawiających „Jesus Christ, super — star”.

— „Grupy poetyckie w Polsce trzymały się ruchu studenckiego, a u nas?”

— A u nas — pociągnął temat wyższości dryblas o flegmatycznym usposobieniu, zaopatrzony w magnetofon kasety, wzbudziwszy nieufność niektórych członków grupy socjologicznej — a u nas nie ma kto pisać. Na konkurs prozatorski wpłynęło 5 opowiadań, do poetyckiego przystąpiło 4 autorów, a do pisania w prasie też nie ma chętnych. A my ciągle o braku papieru, mikrofonu...

— Racja, jak wszystko będziemy usprawiedliwiać brakiem papieru, to nie nie zrobimy. Artysta uważa, że powinien tylko tworzyć. A gdzie jego siła w ejsia?

Ledwo się powstrzymałem, aby nie wakażać na żywy przykład wchodzący, jaki od pewnego czasu demonstruje w Lublinie pewien człowiek piszący wiersze podczas dyszów w Pałacu Ratuszowym i z tego powodu mianowany publicystą literatym, na domiar wszystkiego — skrzywił literatem, nie miał jednak znam tego człowieka i umożliwił mu bezpłatne rozmowy z redakcyjnym telefonem, więc zamilczałem.

— Kastraci, impotenci — powiało z tylnych szeregów.

— Potrzeba reklamy imprez, także w „Arcusie” — zaczął prawnik.

— Czy kolega jest członkiem rady „Arcusa”? — Nie jestem działaczem — zaczął ktoś inny — ale śmiem wątpić, czy wy, działacze, macie jakie rozwiązanie w środowisku studenckim, znanie jego potrzeby i oczekiwaniami. Co to jest, ta cała r.a.d.a. „Arcusa”? Dyskutyjny o kryteriach doboru kadry kierowniczej, a nie o „regencie” i tym podobnych historiach.

— A ja wam powiem, dlaczego nie ma tu dań działacza. Bo w „Zaku” leci dobry film, a w „Kuluarach” jest spotkanie z Worosyjskim — poinformował członek poetyckiej grupy „Sanza-ra”, która pierwsze kroki stawiała pod respublikim patronatem, a przynajmniej pod jego dachem; później bywało różnie.

— Student nie wie, o istnieniu „Arcusa”.

— To lubelska specyfika, większość ze wal, do konsumowania się ciałem, nie do twórczości.

— Nieprawda, to właśnie młodzież ze wal tworzy „Jarmark” i inne, to jest młodzież bardziej twórcza, niż ta z miasta.

— No to policzmy się: kto ze wal, kto z miasta. Do liczenia nie doszło, a szkoda, niemniej jednak przez około pół godziny kwestia s p e c y f i k i

socjologicznego środowiska studenckiego w Lublinie była dyskutowana w sposób żywy i nie pobawiony wzdrukiem, jaki cechuje antyki. Ostentacyjnie posyłem się przykrogo przeświadczenia że tylko publicyści dosiadają wyliniałych kobyl, zając dzając je do granic wytrzymałości czytelnika. Pełnienne nastroje zreszcie, acz chyba nieswiadomie rozdał kolega, który wskazuje na brak dobrej pracy wychowawczej zauważył, że „działacz łatwiej dogada się ze swoim członkiem”. Śmiech, długo nie milknące oklaski (ok. 2 minuty).

Potem oddano się wspomnieniom, w których eksponowano wątki heroiczne, miejscami finansowe, miejscami, jakby to powiedzieć, harscerskie. Zabrał też głos kierownik Wydziału Kultury Prezydium WRN, były działacz studencki, który zaskoczył nieco słuchaczy stwierdzeniem, że usłyszał dziś to samo, co niegdyś poruszano na podobnych spotkaniach.

— A wzmacniacza nie ma — zaintonował animator klubu piosenki.

— No to będzie — zlikwidował problem kierownik, obiecując przydział odpowiedniego urządzenia, a tym samym wnosząc bodaj najistotniejszą wkład w sejmikowe dzieło. Na tym przecież nie koniec, choć mówił się, że szerokie krótko trwał, późniejże wypowiedzi miały jednak charakter wielkiego wyznania wiary, albowiem czas szedł do przodu i męczył zebranych.

— Nie cierpieję folkloru, a tymczasem uczenie-

— Gdzie jest „Gong”? Przygotowuje, werbuje, czy jedzi po obcych krajach? Odebrał mu pomieszczenie!

— A co będzie wizytówka środowiska?

— Teatr Akademicki KUL!

— Ja mogę ofiary ponieść!

— Można mnie posłuchać w radiu!

Wyznania te przerwał euforyczny okrzyk z tylnych rzędów:

— Działacze przyskili!

Fakt ten potwierdzam osobliście; stało to się 3 minut przed zakończeniem sejmiku.

Apologeta Bywałca

P. S. Dyskusja w „Arcusie”, jak każda młodzieżowa dyskusja: tak wielowokłowa, że mieszano aż wesołucha i nieco o b o k faktów kulturalnych, stwarzanych przez środowisko studenckie Lublina, faktów nierzadko wartościowych... Niemniej jednak...

Henio, Henryk i świat

NA tle dorobku młodych lubelskich poetów czterdziestoletnich tomik Makarskiego jest czymś niernormalnym, to znaczy jest normalnym debiutem książkowym 26-letniego poety. U nas zresztą, nawet przy zachowaniu osobowych mocy twórczych, poeta debiutuje książką dosyć późno ze względu na monstrualną długość cyklu wydawniczego. Takich debiutów, jak „Sezonem”, mając lat 24, a przecież był do debiutu ośmiennajętny. W XIX wieku publikowało się szybciej, może dlatego, iż mniej było poetów, choć i to nie wiadomo.

Debiut Makarskiego ośmiennajętny nie jest i w części może nieco zbyt pocziwy, aczkolwiek jest to debiut solidny, a przede wszystkim uświadomił, iż debiutującą książką poetów można by żyć. I każdemu z debiutujących książką poetów można by życzyć, aby jego wiersze tak były wyzbyte cyrkowej konwencjonalności, czyżby na kogoś, kim się nie jest, zasmakowanej kontestacji, żeby były po prostu zapisem wewnętrznych doświadczeń młodego człowieka, bez po prostu refleksu jego doświadczeń zewnętrznych. Co nie znaczy, że dający refleks do końca miłości, to akurat opuszcza aktualną żonę jeśli poeta pisze o końcu miłości, to akurat opuszcza aktualną żonę jeśli poeta pisze o końcu miłości, to akurat opuszcza aktualną żonę jeśli poeta pisze o końcu miłości, to akurat opuszcza aktualną żonę...

Tak więc ostatecznie nie sądzę źle o możliwościach poetyckich Makarskiego, choć sądzę źle o możliwościach poezji w dzisiejszym świecie. „A ostatecznie dać mi choć wódki żebym pił / I potem rzygał bo cieknie” — jak powiada Wojacek. Ale to już inna sprawa. Tymczasem bowiem w poezji Makarskiego nie ma cienia wątpliwości w moce i potrzebie poezji. A zresztą i dzwiny by było, gdyby ktoś zaczynający pisać wiersze rozpoczynał od takich wątpliwości. Na tym można najwyżej kończyć pisanie wierszy, jak na przykład Różewicz.

Zaś Makarski rozpoczyna swój tomik i swoją drogę poetycką od, nieco słowarskich, definicji i określeń rzeczy, jak choćby o lesie: najprostsze najspiewniejsze / połączenie / zieleni z błękitem / krzyku / i / echa. Są to wprawki poetyckie młodzieńca, który jeszcze niewiele wie o świecie, ale próbuje pisać poetycznie.

Następnie idzie normalna erotyka, spożyczenia kradzionych wieczorów i tak dalej. Gładkie, spokojne wierszyki, które świadczą, że poeta się zakochał, bo jak by mogło być inaczej. Dalszy ciąg tej sprawy to wiersze poświęcone żonie, jakieś zagrywy litanijne, rozczulenia intymne, mikrokonflikty w świecie dwójki bliskich sobie ludzi. I tak dalej. Bardzo porządny i sympatyczny chłopak się zza tego wyłania. Mówię o podmiocie lirycznym wierszy, a nie akurat bezpośrednio o autorze, chociaż...

Pierwsze doświadczenia i pierwsze rozczarowania. Nie ma miłości: coraz częściej / parasol nas zbliża / coraz częściej / rozdziela / miłość. Nie ma przyjaźni: jak szczyry / przyjaciele odchodzą bez słowa. A on jest staroświeckim balonem / który / lżejszy o kilka uorków błota / płynie ku słońcu. Właśnie, płynie ku słońcu, zajmując się tropieniem fałszów rozmaitych światła tego, z których najczelniej fałszem są ludzkie słowa. Etap studenckiego wełschmerzu?

No cóż, ale zaczyna się żyć na własną odpowiedzialność i jakieś loty przestają nam wychodzić, ku słońcu też się przestaje płynąć, aczkolwiek bardzo by się chciało, ptasie pióra / trzeba zbierać / znów. A tu ziemia ciemna jakże blisko / jasne niebo / jakże daleko. I stąd już blisko do odkrycia, które każdy na własny użytek poczynić musi. Ze człowiek jest ni to, ni owo, zawieszony między pragnieniami swego ducha a determinizmami swego ciała, potrzebą nieskończoności, którą odczuwa, a skończonością biologii, która jest jego kolebka. Od wieków poeta to odkrywała i pewnie jeszcze przez wieki odkrywać będzie.

Faktem jest w każdym razie, iż od tego miejsca chciałoby się mówić bardziej serio o tomiku Makarskiego. O tych kilkunastu końcowych wierszach, w których nasz Henio przemienia się w Henryka. Myślę, że skoro z debiutanckiego tomiku poety zostaje w pamięci nawet tylko kilka wierszy, to już jest dobrze, i każdemu debiutantowi należałoby tego życzyć.

W swoich najdojrzalszych wierszach Makarski mówi gniewnie o konieczności zapadania się człowieka w biologię, w ziemię właśnie, która w końcu staje się nie tylko śmietnikiem odpadków organicznych, ale i śmietnikiem odpadków historii cywilizacji ludzkiej: historia leży martwa pod stodołą. Jakże są szanse człowieka w tym układzie i czy istnieją jakieś szanse w ogóle, o tym w tomiku mowy nie ma. I to nie jest z mej strony żaden zarzut, tylko proste stwierdzenie faktu.

Ostatnie wiersze Makarskiego wyrażają kryzysowy stan świadomości jednostkowej człowieka, który nieco dojrzał już się rozglądając po świecie, ale na razie nie wie jeszcze, gdzie w naszym domu sufit gdzie podłoga? I oto właśnie jest pytanie. Powiedziałbym bowiem Różewicz i powiedział Konwicki, że dawniej człowiek spał w jednym kierunku, a dzisiaj człowiek spada w różnych kierunkach. Chodziłoby tu głównie o problematykę egzystencjalną ludzkiego losu, co dodaje, żeby nie było nieporozumień.

Pociej
PS. Okładki, zaprojektowane do tomiku Makarskiego przez Jana Popka, jak rzadko kiedy w praktyce naszego Wydawnictwa oddają charakter najdojrzalszych wierszy poety, będąc przy tym interesującym obiektem czysto plastycznej kontemplacji.

Henryk Makarski, „W ziemi stwardniała tonąć”, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1972.

Szyfrogram literacki nr 7

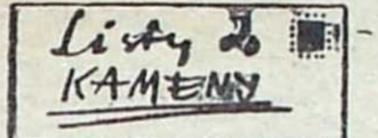
	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14		
15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	
31	32	33	34	35	36	37	38	39	40	41	42	43	44	45	46	
47	48	49	50	51	52	53	54	55	56	57	58	59	60	61	62	
63	64	65	66	67	68	69	70	71	72	73	74	75	76	77	78	
79	80	81	82	83	84	85	86	87	88	89	90	91	92			
93	94	95	96	97	98	99	100	101	102	103	104	105	106	107	108	109
110	111	112	113	114	115	116	117	118	119	120	121	122	123			
124	125	126	127	128	129	130	131	132	133	134	135	136	137	138	139	
140	141	142	143	144	145	146	147	148	149	150	151	152	153	154		

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy na miejsce liczb przenieść do diagramu odpowiadające im litery. Pojedyncze czarne kratki odpowiadają przerwom między wyrazami, podwójne przerwom między wierszami. Rozwiązaniem będzie początek wiersza słynnego poety polskiego, którego dwudziestolecie śmierci przypada w tym roku.

Wyrazy pomocnicze:
Ferdynand władca niekoronowany — 135, 58, 28, 193, 43, 79
Ludowa rzeźba religijna — 89, 31, 58, 121, 75, 29, 44
Sfermentowana serwatka owcza — 104, 122, 87, 18, 37, 6
Powolny gad — 78, 66, 59, 125
Czwarty krzyżyk w tonacjach dur — 48, 150, 127
Miasto powiatowe w woj. łódzkiej — 65, 134, 119, 128, 199, 34, 2
Okrętowa jadalnia — 141, 59, 185, 16, 55
Tekstylny surowiec — 13, 121, 118, 197, 4, 129, 53

Warta — 24, 21, 117, 73, 67
Lad — 56, 89, 15, 35, 129, 64, 153, 123
Owoc fasoli — 31, 25, 61, 97, 54
Dawny uczoney — 154, 42, 143, 37, 99, 93, 139
Przemówienia — 84, 131, 5, 119
Starek wojenny — 142, 134, 152, 83, 52
Produkując chleb — 81, 32, 46, 184, 139, 144, 9, 41, 161
Biblijną pramatką — 32, 15, 29
Na ilusty czwartek — 69, 124, 149, 17, 63, 68
Nieświadomość — 112, 126, 17, 88, 45, 38, 19, 62, 28
Morze między półwyspami Bałkańskim i Azją Mniejszą — 30, 22, 76, 29, 116, 86, 111
Reakcja laboratoryjna — 137, 149, 49, 90, 145, 138
Broń palna — 7, 14, 109, 77, 147, 69, 96
Kopiec leśnych owadów — 71, 92, 51, 115, 82, 74, 23, 47
Pociąg lotniczy — 49, 36, 132, 94, 113
Półwysp nad Morzem Czarnym — 3, 95, 79, 182

Imię autora cytowanego tekstu — 1, 148, 11, 133, 85, 72
Jego nazwisko — 114, 8, 27, 104, 146
Rozwiązania można nadysłać w ciągu 18 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 131, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.
Rozwiązaniem szyfrogramu z Nr 5 był początek „Starych kamieni” Józefa Czechowicza.
Na wiesz furgotał blaszany kogucik na drugiej — zegar nucil
Mur fal i chmur popekał w złote okienka: gwiazdy, lampy.
Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu Nr 5 nagrody wylosowali:
Janusz Odrzomowicz, Jelenia Góra ul. Nowowiejska 27, Elżbieta Borysiak, Biała Podlaska ul. Francuska 38, Barbara Szpryngiel, Lublin ul. Krafcową 183 m. 2, Andrzej Wasik, Wola Mokrzewska 74, p-ia Mokrzysz, pow. Cześcowa.



„Victoria” w „notkach”

W związku z ukazaniem się w rubryce „Noty i notki” w nr 4 „Kamenu” krytycznej notki dotyczącej wysokich cen kart konsumpcyjnych stosowanych w „Victorii” oraz przymusowego oglądania wystaw (programu rozrywkowego) przez konsumentów — wyjaśniamy, że:

W restauracji „Victoria” działalność rozrywkowa (dancing) prowadzona jest we wszystkie dni tygodnia z wyjątkiem poniedziałku. W lutym br. w czwartki, piątki i soboty wprowadziliśmy dodatkową wystawę artystów zagranicznych z Bułgarii i Czechosłowacji, aby uprzyjemnić pobyt oraz konsumpcję naszym gościom i konsumentom. Ponadto poprzez wprowadzenie dodatkowej rozrywki kulturalnej chcieliśmy podnieść poziom naszych usług w mieście, a w „Victorii” szczególnie.

Karta konsumpcyjna w cenie 100 zł wymagana jest w „Victorii” jedynie w jednym dniu tygodnia, w sobotę od godziny 19, natomiast w pozostałe dni tygodnia karta konsumpcyjna kosztuje 50 zł. Restauracja i kawiarnia hotelu „Victoria” jest w sumie gastronomią przyhotelową, stąd każdy nasz gość może na życzenie zjeść kolację do godz. 24.00 w pomieszczeniu kawiarni bez konieczności wykupienia karty konsumpcyjnej i dodatkowych opłat. System ten stosujemy już od kilku miesięcy i naszym zdaniem zabezpiecza on życzenia i wymagania konsumentów.

Marian Śugier
Kierownik Hotelu „Victoria”

A jednak przez kilka dni lutego, jak to uzgodniliśmy telefonicznie — po 100 zł pobierano trzy razy w tygodniu. No i właśnie wtedy byłem w restauracji.

W sprawie druku Manifestu PKWN

W związku z artykułem w numerze 23 z dnia 2 XI 1972 r. pt. „Jedni się topią w błocie”, jako były pracownik drukarni „Zwiercadło” w Chełmie (pracowałem tam od 1 stycznia 1929 r. do 15 sierpnia 1943 r.) wyjaśniam, co następuje:

W okresie okupacji byłem pracownikiem administracyjnym drukarni „Zwiercadło” i znane mi są dokładnie losy drukarni, jak również losy rodziny Czernieckich.

Ob. Maria Sołska przybyła do drukarni po aresztowaniu przez gestapo Czernieckiego i jego dwóch synów. Ob. Jacek Zajczkowski został przyjęty do pracy przez Kazimierza Czernieckiego w roku 1940 jako kółkownikowi chłopiec — zatrudnienie go w drukarni miało być ochroną przed wywozem do Niemiec na przymusowe roboty. Ob. Tadeusz Maruszewski, kuzyn Czernieckiej, pracował w drukarni przed wojną od roku 1937 (od 1937 do 1939 roku odbywał czynną służbę wojskową), a następnie znalazł się w drukarni w roku 1941 już po aresztowaniu Czernieckich. (Maruszewski pracuje obecnie w Zakładzie Kserograficznym Ministerstwa Finansów w Warszawie).

Chcę wyjaśnić sprzeczności pomiędzy relacją Maruszewskiego i Zajczkowskiego, podając faktyczny przebieg akcji drukowania Manifestu PKWN.

Fakty podane przez wyżej wymienionych są zgodne tylko w tym, że rzeczywiście zabrakło prądu i maszyny były unieruchomione. Ludzi do kręcenia kół

zamachowego werbował plutonowy Miński, który — podając to gwałt prawdy historycznej — wyszedł z pomocą na ulicę Lubelską i sprowadził kilkunastu mężczyzn w różnym wieku. Nie wiedzieli oni nawet po co idą do drukarni. Dopiero po przybyciu i zorientowaniu się, co będą robili, ludzie ci, a szczególnie młodzież, z entuzjazmem zabrali się do kręcenia kół zamachowego, dzięki czemu można było odbić pewną ilość egzemplarzy Manifestu PKWN.

Prawdą jest, co pisze Ob. Zajczkowski, że cały nakład Manifestu PKWN zabrał plutonowy Miński w celu przekazania władzom PKWN. Wiadomości, jakoby ob. Sołska za pośrednictwem Straży Obywatelskiej oraz prezydenta Gutta werbowała ludzi do kręcenia kół zamachowego, nie odpowiadają prawdzie, ponieważ w dniu tym nikt z przeciętnych obywateli Chełma nie wiedział o tym, że ob. Gutt jest prezydentem miasta.

Sprawy te, jako b. pracownikowi drukarni „Zwiercadło”, są mi dobrze znane, ponieważ, jak pisze wstępnie, pracowałem bez przerwy w tej drukarni 9 lat, tj. w owym czasie dłużej niż ob. Zajczkowski i ob. Maruszewski, ponadto byłem jedynym pracownikiem administracyjnym tego zakładu. Wszystkie sprawy dotyczące kierowania zakładem były mi dobrze znane, a zwłaszcza po śmierci Czernieckiego, gdy wiele rozpracowanych przez niego spraw, w które byłem zaangażowany, spadło na moje barki.

Dziś wydaje mi się tylko dziwne, że nikt z dawnych kolegów nie podał mojego nazwiska, aczkolwiek mógł udział w nielegalnych pracach drukarni w czasie okupacji być dość znaczący. Mnie, jako kobiecie, nie zaliczono na zaszczycach i stałem, ale idąc za uzasadnieniem redaktora artykułu chcę choćby w sprawie, moim zdaniem, drobnych, dać świadectwo prawdziwe historycznej.

Czesława Paczoza
Warszawa

O LUBELSKICH NAZWACH TERENOWYCH

NAZEWNICTWO z terenu województwa lubelskiego doczekało się dotychczas niewielu opracowań językoznawczych. Wymienić tu należy cztery następujące monografie: „Nazwy miast Lubelszczyzny” Stefana Warchola (Wydawnictwo Lubelskie, 1964 r., 236 stron), „Nazwy dzielnic i przedmieść Lublina” oraz „Nazwy ulic i placów Lublina” Mieczysława Buczyńskiego (w czasopiśmie: „Rocznik Lubelski”, 1963, s. 251—268 oraz „Onomastica”, Wrocław 1966, s. 136—181, a także świeżo wydana przez Wydawnictwo Lubelskie praca Michała Lesiowa „Terenowe nazwy własne Lubelszczyzny”, będące przedmiotem niniejszego omówienia.

Wymieniona publikacja zawarta jest na 216 stronach druku, a godny podkreślenia jest fakt wykorzystania przez autora pełnej literatury naukowej, popularnonaukowej i źródłowej, dotyczącej terenowych nazw polskich, a także ukraińskich i rosyjskich. Fakt ten ma swoją szczególną wagę ze względu na dwujęzyczną, polską i ukraińską postać nazewnictwa Lubelszczyzny, nadto nadaje on monografii charakter sławistyczny.

We wstępie autor precyzyjnie swoje założenia metodologiczne, m. in. zakres i źródła przedstawianego przez siebie materiału oraz zasady jego klasyfikacji. Za terenowe nazwy własne uznaje on nazwy „gruntów” i w ogóle miejsce nie zabudowanych, t. j. „własne nazwy pól, łąk, lasów, pastwisk, nieużytków, dróg oraz wszelkich wąwozów, dolów i wzgórz”, wyklucza natomiast z tego pojęcia nazwy wodne, miejscowości i części miejscowości. Jak wiadomo, nazwy terenowe tworzy lud dla ułatwienia orientacji na obszarze wsi, nie są to więc twory oficjalne, uznane urzędowo. Stanowią one, podobnie jak gwary ludowe, przejaw zanikającej kultury ludowej, wymagającej rychłego utrwalenia i przebadania. Nadto odsłaniają nam one mechanizm powstawania nazw miejscowości, sposób tworzenia obu tych rodzajów nazw jest bowiem podobny. Podjęcie tego tematu jest więc ogromną zasługą lubelskiego topomasty.

Również we wstępie prezentuje autor własną klasyfikację nazw terenowych, zastosowaną w trzech zasadniczych rozdziałach książki. Jako kryterium podziału nazw terenowych na grupy przyjął M. Lesiów znaczenie bezpośredniej podstawy

słotowórczej, tzn. czy ta podstawa jest wyrazem pospolitym, np.: Bagno, Zgórek, czy nazwą osobową, np.: Austryjak, Za Helena, czy nazwą miejscową, np.: Bělzycki Gościńiec, Łabunieć. W każdej z tych trzech wymienionych grup istnieje dalszy podział, mianowicie ze względu na kategorię gramatyczną danej nazwy terenowej (czy jest ona rzeczownikiem, przymiotnikiem, liczebnikiem), Podział taki odznacza się dużą przejrzystością, choćby ze względu na budowę i etymologię nazw, tym bardziej, że autor prowadzi dalsze dociekania w tych zakresach: uwzględnia rodzaj i liczbę nazwy, jej rdzeń, sufiksy itp. dane.

Interesujący problem to rozkład geograficzny omawianych nazw terenowych, co wynika z terytorialnego rozwoju dzisiejszego województwa lubelskiego. Autor stwierdza, że „Lubelszczyzna dzisiejsza (...) to zlepek przynajmniej czterech skrawków różnych historycznie i językowo odrębnych dzielnic: Małopolski, Mazowsza, Wielkiego Księstwa Litewskiego i Ziemi Chełmskiej”. W gwarach województwa wyróżnia się cztery ugrupowania: północno-zachodnie (mazowieckie), południowo-zachodnie (małopolskie), północno-wschodnie (północno-ukraińskie) i południowo-wschodnie (południowo-ukraińskie), co też odbiło się i na rozkładzie nazw terenowych. I tak małopolski charakter mają nazwy związane z wyrazami: szczyrk, odsłonie, zapusta itp.; z Mazowszem wiąże się nazwy pochodzące od wyrazów: grzeba, pasmuga itp., w północno-wschodniej części występują nazwy łączące się wyrazami: muracha, wyhar itp., zaś w południowo-wschodniej nazwy pochodne od wyrazów: bajrak, kopań itp.

Szczególnie mocną stroną monografii stanowi doskonała interpretacja nazw terenowych pochodzenia ukraińskiego. M. Lesiów jest niewątpliwie jednym z najlepszych polskich ukraińistów, toteż potrafił dostrzec wszystkie możliwe elementy ukraińskie w terenowych nazwach lubelskich.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WASNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny) BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MANKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz MIROSLAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI i MACIEJ PODGORSKI. Redaktor techniczny i korektor — IRENA KOMOSA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielać pisaczkowi pocztowo i „Ruch”. Redakcja nie wwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: RSW PRASA — KSIĄZKA — RUCH Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 2. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Numer łamal MIECZYSLAW PSUJER.

Adres redakcji: 20-916 Lublin, ul. Narutowicza 25

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-33

Korespondencje wysyłaj prosimy kierować pod adresem: 20-916 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polszone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 779. 21.III.79. 14.617. G-4

Mieczysław Buczyński

Kamena str. 11

Na równych prawach

W BIULETYNIE Prasowo-Wydawniczym Stefan Skrobiszewski przypomniał piękna kartę w dziełach powojennej prasy polskiej, poświęcając swój interesujący szkic „Młodej Rzeczypospolitej”...

„Młoda Rzeczypospolita” była awolnym corosum. Skrobiszewski nazywa ją „trybuną licealistów z całego kraju i — zarazem — forum ich dialogu ze starszym społeczeństwem”...

Sytuację tę dobrze znało kolegium redakcyjne „Młodej Rzeczypospolitej” publikując na łamach tygodnika różne stanowiska młodzieży...

W „Młodej Rzeczypospolitej” pisali przyjaciele historycy, wśród nich właśnie i Zygmunt Mańkowski, socjolog, literat, działacz państwowy i społeczny...

Pismo zachęcało też wielu młodych (poprzez publikację ich wypowiedzi) do pisania, powiedzielibym — zarażało ich piśmiem na całe życie...

Tu startował Kazimierz Działowski, wówczas 16-letni uczeń i kl. Liceum im. T. Reytana w Konstancinie, późniejszy publicysta „Życia Warszawy”...

Leżek Herdogen, uczeń IV kl. krakowskiego Gimnazjum im. H. Sienkiewicza też próbował — w powodzeniu — swoich sił w „Młodej Rzeczypospolitej”...

Także chumor dopisywał... itd. Nie wierzących odsyłam do wnikliwej analizy takich katek z życzeniami, przeprowadzonej przez F. Piątkowskiego w „Sztandarze Ludu”...

A przy okazji chciałbym prosić kogoś o podobne zanalizowanie tekstów opowiadań, nadesłanych na ostatni Studencki Konkurs Literacki...

A i hadko pomyśleć kto studiuje, kto kończy studia, kto i jaką odbarza później wiedzę niewinne dziatki...



Rys. L. Szalecki

Noty i notki

Po paszkwilu na Lubelszczyznę pióra pana Dziechciaruka „Literatura” wydrukowała m. in. listy pana Longina Kalinowskiego i Jerzego C. Strzałkowskiego (nazwiska znane, ale nie w połączeniu z tymi imionami) i niejakiego „Roli”...

Zadumałem się nad ogłoszeniem Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Mięsnego w Olsztynie (ul. Lubelska 202), które poszukuje „50 szt. elektrycznych poganiaczy zwierząt”...

Jeśli wierzyć Tomaszowi Redlinie („Panorama Północy” nr 12), to niemalże w popołudniu opuścił on bar „Caro” w sopockim hotelu „Grand”...

Natomiast Andrzej Makowiecki z łódzkich „Odgłosów” (nr 12) poszedł do lokalnej kawiarni „Egzyzyczna” i potem wyznał, że nie interesował się ani alkoholem ani nikotyną...

Dla edmianny „ltd”, które ostatnio powiększyło się do 24 stron, w nr 12 nie zamieściło ani jednego aktu, gorzej — ani jednej odkrytej, czy chociażby specjalnie uwypuklonej pierś...

Z wrocławskiego tygodnika „Wiadomości” (nr 12) można się dowiedzieć, że „za zdobycie pierwszego miejsca w ubiegłorocznym współzawodnictwie pracy w branży bawelnianej”...

felieton z rezerwy

„Ośnierzony chumor”

JEDNA z zastużonych instytucji w zachwasczaniu polszczyzny jest, jak wiadomo, telewizja. Płany w tej dziedzinie zazwyczaj wykonuje. Zwążywszy jednak na fakt częstych wyjazdów sprawozdawców sportowych na międzynarodowe zawody...

W.B. Warszawa. Nie możemy inaczej odpisać, niż zgodnie z metryką autora: to są rzeczywiście początki. Ale w tych początkach, które na razie nie mogą urzeć dźwięku, tkwi więcej fermentu...

Z. S. Lublin. Każda redakcja czuje się bardzo niewesoło, kiedy otrzyma pytanie tak „dalekosiężne”. Nie możemy odpowiedzieć, czy Pani wiersze mają szansę na trwałe, ponieważ nie wiemy, co Pani w przyszłości napisze...

APEN. Całe szczęście, że znajduje się Pan na początku drogi. Czym prędzej należy z niej zawrócić. Albo nie pisać wierszy, albo pisać inaczej. Trudno nam powiedzieć jak, ponieważ wydaje się, że Pan jeszcze nie zaczął się zastanawiać, co to jest poezja...

— Nie, to ja pójde — odparła Zuzanna ze ścisniętym sercem. — Zostań, Zuzi — poparł Basię Mariusz. — To jej zaodzierzamy, że tak się stało.

— Jak się stało? — Ze wróciłabym do hotelu. Zuzia właśnie powiedziała, że najlepiej będzie, gdy tu na ciebie zaczekamy.

— Bardzo pani dziękuję. Ale, ale, widzę, że w międzyczasie wypiliście bruderzajf. — Tak jakos wyszło. — Zuzanna próbowała ratować sytuację. — Widzi pani: w pracy, między kolegami to jest rzecz powszechna.

— Ale nie w pracy przysiliście na ty, tylko w Katowicach. Oj, oj, już ja się z Mariuszem potem policzę — zatarła nos. — A teraz powiedzcie, kochani rodacy, co mamy robić z tak pięknie rozpoczętym popołudniem?

— Ja, proszę mi wierzcie, naprawdę nie chcę pani i Mariusza kępować. Pójde do mego pokoju i poczytam jakąś książkę. Pozyczyłam właśnie zbiorek pięknych wierszy Henryka Gaweorskiego. To nie dziwniejsza poezja, z którą nie ma można zrozumieć.

— Ależ na wiersze jeszcze będzie dość czasu! Szczerze mówię, zacząłbym wyznać, że poezję obrzydlił mi w szkole dokumentem. Co poeta myślał? Co poeta chciał wyrazić? A jakby ten wiersz pogodził z własnymi słowami? Oszaleć można! Skoro od wierszy muzykę. Jest tutaj radio? O, stoi w kącie. Zapnij jakąś muzykę i potoczmy. Mariusz będzie miał powodzenie. Ich dute a ou jeden.

Zuzanna mimo woli podziwiała Barbarę. Zastanawiała się, jak by ona postąpiła, gdyby znalazła się na jej miejscu. Wszystko przecież wskazywało, łącznie z tym wyjazdem do Katowic, że założy jej na Mariusza, na pewno uolalaby się z nim znaleźć

teraz sama. A jednak nie stracił żadnych fochów, wprost przeciwnie, stara się być jak najbardziej gościnną i towarzyską.

Ale Zuzanna nie znała Barbary. Sama z natury prostolinijna, przysierała wszystkim do siebie. Tymczasem Barbara miała wielkie zdolności aktorskie. I teraz po prostu grała. W gruncie rzeczy najchętniej pokazywałaby Zuzannie drzwi i wysłotałby ją, gdzie pieprz rośnie. Obawiała się jednak, i słusznie, że w ten sposób zraziłaby Mariusza. Jednocześnie nie była na tyle ślepa, by nie zauważyć, że Zuzanna interesuje się Mariuszem bardziej niż wmagaly tego względy czysto koleżeńskie. Zarazem wiedziała, że Zuzanna nie ma tu wielkich szans. Dlatego mogła sobie pozwolić na uśpienie miłośności wobec tej dziewczyny.

A Mariusz? Gdyby go teraz ktoś zapytał, co myśli o tym wszystkim, znalazłby się w nie lada tarapatkach: co odpowiedzieć? Z jednej strony wolałby, aby w pokoju była tylko Basia, z drugiej zaś nie wyobrażał sobie, by Zuzanna mogła znaleźć się w swoim pokoju i zatopić w lekturze wierszy. To wyznaczone, jakie usiłował w restauracji zaszokować go. Trudno jednak przypuszczać, aby stanowiło dla niego nieprzyjemną nowinę. Jego meksa ambicja została mu niepotrzebna. Mało jest ludzi, którzy by nie chcieli być uwielbiani, którym czujna holdy nie sprawiłyby przyjemności. A Mariusz nie sądził w życiu zbyt wiele serca. Ponieważ jednak i życie nie gładziło go, dobrze wiedział, jak boli czujne nieprzyjemne słowa, nieprzyjemny gest. Siadł chciał być dobry i dla Basi i dla Zuzi. Nie przypuszczał nawet, jakiej trudnej podjął się roli, jak w gruncie rzeczy mecząca była sytuacja, w jakiej się znalazł. Ale mecząca się cała trójka.

Barbara zaczęła manipulować przy radiu, ale odbiornik był sępsuty.

— Widzę, że nie z naszych tańców nie będzie. Proponuję więc opuścić ten przytulny pokój i pójść po prostu do Polskiej. Zaprasza państwa na Kociąję. Zobaczymy, jak wygląda nocne życie Katowic.

— Ale uczennicom można przebywać na ulicy tylko do określonej godziny! — powiedziała Zuzanna poważnie, ale Barbara uśmieła się do sarta.

— Po pierwsze są wakacje, a po drugie nikt mnie tutaj nie zna. Jestem zupełnie incognito! — Voila! Mariuszu, szybko bierz kosażkę, krawał, marynarkę. Idziemy!

Mariusz dopiero teraz się zorientował, że jest do połowy nieubranym. Przeprosił panie i wyszedł do latarki. W tym momencie Barbara zmieniła się nagle, jej oczy zwrężyły się, poprzednia wspaniałomyślność przynęta jak banka mydlana. Zuzanna przerażała się tej dziewczyny.

— Uczennicom można przebywać na ulicy tylko do określonej godziny? — Stuchaj — przeszła na ty — a koleżankom można być pukania odwiedzając koleżkę w hotelowych pokojach?

— Pukałam — wyszeptala Zuzanna.

— Co ty myślisz, że ja mam bierno na oczach? Ale pamiętaj, nigdy go nie będziez miota! Nigdy! O, tak go sobie owinę wokół palca. — Barbara już nie grała, nie uśmiewała się. Wykorzystała moment, że Zuzanna została bez świadka. Była przekonana, że Zuzanna nie powtórzy jej słów Mariuszu, gdy wróci do uczelni, ten nie weźmie ich na serio.

I właśnie Mariusz stanął w drzwiach odśnieżonej ulicy.

— No to dziękuję, droga panno Zuzi! — powiedział Basią jak mogła najdelikatniej.

— O, widzę, że panie już się polubiły! — Mariusz uśmiechał się serdecznie. (cdn)

Odpowiedzi redakcji

W.B. Warszawa. Nie możemy inaczej odpisać, niż zgodnie z metryką autora: to są rzeczywiście początki. Ale w tych początkach, które na razie nie mogą urzeć dźwięku, tkwi więcej fermentu, niż w utworach spokojnie czekających swej kolejki na spawty. Warto pisać. Wydaje się, że posłada Pan instynktowne umiejtności wejścia w słowo i temu instynktowi trzeba dopomóc. Radzimy jednak zrezygnować z efektów „mocnego słowa”, gdyż ten efekt jest tylko efekciarstwem. Również — trochę więcej wedziła samej formie. Niech nie ponosi!

Z. S. Lublin. Każda redakcja czuje się bardzo niewesoło, kiedy otrzyma pytanie tak „dalekosiężne”. Nie możemy odpowiedzieć, czy Pani wiersze mają szansę na trwałe, ponieważ nie wiemy, co Pani w przyszłości napisze, a stawka kilku utworów i to napisanych na początku twórczości nie może pretendować do wieczności. Czy nie wydaje się Pani, że jak na kobietę mieć Pani w swych wierszach zbyt mało uczucia?

APEN. Całe szczęście, że znajduje się Pan na początku drogi. Czym prędzej należy z niej zawrócić. Albo nie pisać wierszy, albo pisać inaczej. Trudno nam powiedzieć jak, ponieważ wydaje się, że Pan jeszcze nie zaczął się zastanawiać, co to jest poezja. Proszę pomyśleć: nie warto pisać o muzyce, że widać sercem i króluje myślom, ponieważ to niczego nie wyrasta. Tyle o muzyce wiemy. Spostrzeniemy, że by zasłuszy na przekaz poetycki, musi być oryginalne, musi wywołać się z przecięcia autora. Nie wolno popełniać komunistów. Czy zakomunikuje pan koleżce, że niebo jest niebieskie? Nie. Więc dlaczego takiego określenia nie zawałaby się Pan wpakować do wiersza? A przecież wiersz jest bardziej wymagający, niż język mowy potocznej. Musi Pan spróbować pisać o tym, co Pan naprawdę myśli i

czuje, a nie o tym, co Pan — wydaje się, że — powinien przy danym temacie myśleć i czuć.

S. F. Lublin. To co wyżej, do Pana się również odnosi. W wierszu nie wystarczy skonstatowanie faktów. Z faktów trzeba wyciągnąć to, co jest rzeczywistym przeżyciem. O ney! „Na ulicach milicji gwar w oddali słycał szczerkanie psów po pewnym czasie wszystko cichnie i cały świat pogrąży się we śnie”. Święta prawda, ale do niej nie potrzeba wiersza.

W. A. Grudziądz. Zatrzymujemy „Bez słowa listu” i „Na odwoicie metki”.

K. J. Lublin. Nie praktykuje się drukowania anonimowych wierszy. „Paweł Nida”. Niektóre z nadesłanych wierszy mają szansę druku. Prosimy tylko nie dopuścić do głosu niedziękowości.

J. F. Grudziądz. Oj, ta łatwa okolicznościowość wierszy. Czy przypadkiem nie stawia pod znakiem zapytania szczerość wypowiedzi? Przyznamy się, że wolelibyśmy coś bardziej osobistego.

M. K. Zamość. Wiemy, co dla młodej autorki znaczy zainteresowanie jej utworami. Wiersze zawierają pewien ładunek na poezję, ale żeby ją osiągnąć potrzeba się przede wszystkim pozbryć stwierdzeń dość oklepanych, jak np. te, które są zawarte w wierszu o cyrku. Przepuszczamy nawet, że nie pochodzą one z obserwacji życia, ale z lektury. Weźmy pod uwagę, że to, co się samemu przeczytało, przeczytali i inni, a więc pisać o tym, czy o czymś podobnym, to komunikować rzeczy raczej znane. Pierwszym warunkiem wiersza jest świeżość przeżycia, a tę w utworach Pani można znaleźć, niepotrzebnie jest tylko przypisywane nalołom wtórności. Nadalmy duto czytać.

C. B. Janów Lubelski. Jak na ten wiek autora, wiersze są nieoczekiwanie dojrzałe. To znaczy siła wyobrażeń, zdolność do skojarzeń, oryginalność spojrzenia. Trochę natomiast gorzej jest z operowaniem językiem, bo tu i tam zdarzają się pewne zwroty wątpliwe. To zatrzymuje przed drukiem. W każdym razie zachęamy do pracy i przypuszczamy, że coś z tego wyniknie.

— Nie, to ja pójde — odparła Zuzanna ze ścisniętym sercem. — Zostań, Zuzi — poparł Basię Mariusz. — To jej zaodzierzamy, że tak się stało.

— Jak się stało? — Ze wróciłabym do hotelu. Zuzia właśnie powiedziała, że najlepiej będzie, gdy tu na ciebie zaczekamy.

— Bardzo pani dziękuję. Ale, ale, widzę, że w międzyczasie wypiliście bruderzajf. — Tak jakos wyszło. — Zuzanna próbowała ratować sytuację. — Widzi pani: w pracy, między kolegami to jest rzecz powszechna.

— Ale nie w pracy przysiliście na ty, tylko w Katowicach. Oj, oj, już ja się z Mariuszem potem policzę — zatarła nos. — A teraz powiedzcie, kochani rodacy, co mamy robić z tak pięknie rozpoczętym popołudniem?

— Ja, proszę mi wierzcie, naprawdę nie chcę pani i Mariusza kępować. Pójde do mego pokoju i poczytam jakąś książkę. Pozyczyłam właśnie zbiorek pięknych wierszy Henryka Gaweorskiego. To nie dziwniejsza poezja, z którą nie ma można zrozumieć.

— Ależ na wiersze jeszcze będzie dość czasu! Szczerze mówię, zacząłbym wyznać, że poezję obrzydlił mi w szkole dokumentem. Co poeta myślał? Co poeta chciał wyrazić? A jakby ten wiersz pogodził z własnymi słowami? Oszaleć można! Skoro od wierszy muzykę. Jest tutaj radio? O, stoi w kącie. Zapnij jakąś muzykę i potoczmy. Mariusz będzie miał powodzenie. Ich dute a ou jeden.

Zuzanna mimo woli podziwiała Barbarę. Zastanawiała się, jak by ona postąpiła, gdyby znalazła się na jej miejscu. Wszystko przecież wskazywało, łącznie z tym wyjazdem do Katowic, że założy jej na Mariusza, na pewno uolalaby się z nim znaleźć

teraz sama. A jednak nie stracił żadnych fochów, wprost przeciwnie, stara się być jak najbardziej gościnną i towarzyską.

Ale Zuzanna nie znała Barbary. Sama z natury prostolinijna, przysierała wszystkim do siebie. Tymczasem Barbara miała wielkie zdolności aktorskie. I teraz po prostu grała. W gruncie rzeczy najchętniej pokazywałaby Zuzannie drzwi i wysłotałby ją, gdzie pieprz rośnie. Obawiała się jednak, i słusznie, że w ten sposób zraziłaby Mariusza. Jednocześnie nie była na tyle ślepa, by nie zauważyć, że Zuzanna interesuje się Mariuszem bardziej niż wmagaly tego względy czysto koleżeńskie. Zarazem wiedziała, że Zuzanna nie ma tu wielkich szans. Dlatego mogła sobie pozwolić na uśpienie miłośności wobec tej dziewczyny.

A Mariusz? Gdyby go teraz ktoś zapytał, co myśli o tym wszystkim, znalazłby się w nie lada tarapatkach: co odpowiedzieć? Z jednej strony wolałby, aby w pokoju była tylko Basia, z drugiej zaś nie wyobrażał sobie, by Zuzanna mogła znaleźć się w swoim pokoju i zatopić w lekturze wierszy. To wyznaczone, jakie usiłował w restauracji zaszokować go. Trudno jednak przypuszczać, aby stanowiło dla niego nieprzyjemną nowinę. Jego meksa ambicja została mu niepotrzebna. Mało jest ludzi, którzy by nie chcieli być uwielbiani, którym czujna holdy nie sprawiłyby przyjemności. A Mariusz nie sądził w życiu zbyt wiele serca. Ponieważ jednak i życie nie gładziło go, dobrze wiedział, jak boli czujne nieprzyjemne słowa, nieprzyjemny gest. Siadł chciał być dobry i dla Basi i dla Zuzi. Nie przypuszczał nawet, jakiej trudnej podjął się roli, jak w gruncie rzeczy mecząca była sytuacja, w jakiej się znalazł. Ale mecząca się cała trójka.

Barbara zaczęła manipulować przy radiu, ale odbiornik był sępsuty.

— Widzę, że nie z naszych tańców nie będzie. Proponuję więc opuścić ten przytulny pokój i pójść po prostu do Polskiej. Zaprasza państwa na Kociąję. Zobaczymy, jak wygląda nocne życie Katowic.

— Ale uczennicom można przebywać na ulicy tylko do określonej godziny! — powiedziała Zuzanna poważnie, ale Barbara uśmieła się do sarta.

— Po pierwsze są wakacje, a po drugie nikt mnie tutaj nie zna. Jestem zupełnie incognito! — Voila! Mariuszu, szybko bierz kosażkę, krawał, marynarkę. Idziemy!

Mariusz dopiero teraz się zorientował, że jest do połowy nieubranym. Przeprosił panie i wyszedł do latarki. W tym momencie Barbara zmieniła się nagle, jej oczy zwrężyły się, poprzednia wspaniałomyślność przynęta jak banka mydlana. Zuzanna przerażała się tej dziewczyny.

— Uczennicom można przebywać na ulicy tylko do określonej godziny? — Stuchaj — przeszła na ty — a koleżankom można być pukania odwiedzając koleżkę w hotelowych pokojach?

— Pukałam — wyszeptala Zuzanna.

— Co ty myślisz, że ja mam bierno na oczach? Ale pamiętaj, nigdy go nie będziez miota! Nigdy! O, tak go sobie owinę wokół palca. — Barbara już nie grała, nie uśmiewała się. Wykorzystała moment, że Zuzanna została bez świadka. Była przekonana, że Zuzanna nie powtórzy jej słów Mariuszu, gdy wróci do uczelni, ten nie weźmie ich na serio.

I właśnie Mariusz stanął w drzwiach odśnieżonej ulicy.

— No to dziękuję, droga panno Zuzi! — powiedział Basią jak mogła najdelikatniej.

— O, widzę, że panie już się polubiły! — Mariusz uśmiechał się serdecznie. (cdn)

Advertisement for 'Smak miłości i też' featuring a woman's face and the text 'Waleria Sulima' and 'Trudno jest kochać i patrzeć, jak obiekt miłości całuje rywalkę. To przydarzyło się właśnie Zuzannie w katowickim hotelu. Ale dziewczyna zawzięta się, czy jej upór przysłał ale na coś, zobaczymy w dalszych odcinkach „Smaku miłości i też”, która to powieść drukujemy w autonomicznej rubryce „Kamień” — „Początek” gwoli ukazania komplikacji młodzieńczego wieku i udowodnienia wszem i wobec, że i współczesne pokolenia szukają prawdziwego uczucia. A że w Mariuszu kochają się aż dwie dziewczyny? Wielu z nas z autopsji (widzenie czegoś własnymi oczyma — Słownik Wyrazów Obcych PWN, str. 60) wie, że nie jest to rzecz fantastyczna na naszym ulównym globie...

— Nie, to ja pójde — odparła Zuzanna ze ścisniętym sercem. — Zostań, Zuzi — poparł Basię Mariusz. — To jej zaodzierzamy, że tak się stało.